

KIRGIZJA-KOŁCHOZ, B.Cz.K., WOJSKO (I), CHOROBA, POWRÓT DO KOŁCHOZU

Myśmy we czwórkę otrzymali przydział do jednego z kołchozów w Kirgizji. Wieczorem przyjechała po nas furmanka z tego kołchozu. Droga trwała całą noc i większą część dnia. Przejechaliśmy rodzaj przełęcz (‘‘szczeli’’) między dwoma pasmami gór. Między nimi płynęła wartka rzeka Tałas. W ten sposób przekroczyliśmy geograficzną granicę dzielącą Kazachską i Kirgizką Republikę. Późnym wieczorem przybyliśmy na miejsce. Wieś nazywała się Wodnoje a kołchoz Min Bułak, co po kirgizku znaczy Tysiąc Źródeł. I rzeczywiście, bardzo dużo było tych źródełek tryskających z ziemi. Woda była czyściutka, źródłana i zimna. Przyjemnie było ją pić. Początkowo ulokowano nas w jednym z dwóch pomieszczeń glinianego domku należącego do samotnej kobiety, Rosjanki. W naszym pomieszczeniu była przygotowana sterta słomy. Tak przespaliśmy tę pierwszą noc w kołchozie Min Bułak. Rano udaliśmy się do budynku zarządu kołchozu i tam wydano nam naszą dzienną rację żywnościową: po 600 gramów białego pszennego chleba, 100 gramów makaronu (łapszy), trochę oliwy jadalnej. Wcale nieźle, po tylu głodnych, postnych dniach. Po kilku dniach przesiedlono nas do innego, lepszego domu. Należało on do niemieckiej rodziny Najman.

Kilka zdań o kołchozie i kołchoźnikach. Kołchoz składał się z trzech grup ludnościowych: Niemców, Rosjan i Kirgizów. Niemców sprowadził w te strony kilkaset lat temu któryś z carów. Ich językiem na codzień w rodzinie jest rodzaj dialektu, skażonego niemieckiego. Sądzę, że Niemcowi z Niemiec porozumienie się z nimi napotkałoby na pewne trudności w początkowym okresie. Po nabraniu wprawy na pewno by znikły. Młodzież mówi po rosyjsku płynnie i poprawnie. Niektórzy starzy ludzie rosyjskim w ogóle nie władali, jakkolwiek takich było niewiele. Domy, zagrody gospodarskie, obojścia i działki przyzagrodowe są świetnie utrzymane i bardzo wydajne. Ich bydło ‘‘błyszczą’’ z daleka. We wszystkim czuło się gospodarską rękę. Wchodząc do wsi, po wyglądzie zewnętrznym od razu rzuca się w oczy ‘‘who is who’’, kto jest kto. Gospodarstwa Rosjan można by podzielić na dwie grupy: te lepsze i te gorsze. Te lepsze, to gospodarstwa byłych ‘‘kułaków’’ wysiedlonych przymusowo ze swoich stron rodzinnych i osiadłych w dalekiej Azji. Ci to zawsze potrafili gospodarzyć lepiej od swoich współziomków na starych ziemiach. Te gorsze gospodarstwa to takie, właściciele których urodzili się już tu na tej ziemi i dotąd nie nauczyli się gospodarować chociażby na podobieństwo Niemców. Niegospodarność i zaniedbanie wyziera z każdego zakątka. Picie wódki to nie aż takie przestępstwo. Natomiast picie bez umiaru to głupota granicząca z przestępstwem. O gospodarstwach kirgizkich nie warto w ogóle mówić. Oni dotąd tkwią w ubiegłym stuleciu i jeszcze nie weszli w XX wiek.

Jeżeli chodzi o sympatie polityczne, to u tych dwóch ostatnich są chyba jasne. To przecież ich synowie przelewają krew na frontach tej wojny. Inaczej, jak sądzę przedstawia się ta sprawa u pierwszej grupy, u Niemców. Ich wszystkich zdjęli od razu z frontów i w ogóle z wojska, co jest zrozumiałe. Dopiero później zaczęto ich brać do tzw. ‘‘stroj batalionów’’ - batalionów pracy. Bataliony te w dużej mierze przyczyniły się do podważania zdrowia ‘‘żołnierzy’’ tych batalionów. Ciężka praca przy niedostatecznym wyżywieniu. Do tych batalionów posyłano nie tylko Niemców, ale również i byłych obywateli polskich i rumuńskich usuwanych z frontów i w ogóle z wojska jako element niepewny, niegodny zaufania. Chyba jasne, że Niemcy w Min Bułaku starannie ukrywali swoje sympatie. A jakie one były w rzeczywistości, nie trudno się było domyślić. Bo przecież inne być nie mogły, jakaś tam więź duchowa, głęboko ukryta, bardzo intymna – nawet jeżeli przedtem nigdy jej nie było, to teraz, w najtajniejszych zakamarkach duszy musiała się zaiskrzyć.

Według mnie, tę sytuację można by w jakiejś mierze przyrównać do sytuacji Żydów w Sowietach Chruszczowa i w Polsce za czasów Gomułki. Od Żydów żądano jawnego, słownego i oisemnego potępienia Izraela jako napastnika i agresora, sługusa i watażkę imperializmu. Byli tacy, którzy to robili, chociaż w głębi duszy myśleli inaczej. Nawet takim też nie wierzono. Mieli

rację Chruszczow i Gomułka, bo inaczej też być nie mogło. Krew nie woda, i ci tzw. “oświeceni” antysemitom dobrze o tym wiedzieli.

Okolica w Wodnym była piękna, powietrze czyste i orzeźwiająca, woda krystalicznie czysta i smaczna. Nasze dwie kobiety pracowały przy sortowaniu i układaniu liści tytoniu. My mężczyźni, Ef i ja, pracowaliśmy w polu przy różnych robotach - wszędzie tam dokąd nas posyłano. Później Efa wzięto do pracy w buchalterii kołchozowej. On przecież przez całe życie był księgowym i to rutynowanym. Mnie posłano do roboty w kuźni kołchozowej. Jakie takie doświadczenie w tej dziedzinie przecież miałem. Praca w warsztacie ślusarskim Russa i dwa lata szkoły technicznej na coś się przydały.

Nasza nowa gosodyni, Najmanowa i jej dzieci ustosunkowali się do nas bardzo życzliwie. Ich ojciec przebywał poza domem, w górach na wypasie owiec kołchozowych. Od czasu do czasu przyjeżdżał (konno) do domu. Jeżeli chodzi o wyżywienie, to wszystko pozostało po starym, jak w eszatonie - pełna wspólnota. Produkty odbieraliśmy hurtowo, co jakiś czas. Wydostaliśmy skądś wiadro i w nim gotowaliśmy zupę dwudaniową; w pierwszej zjadaliśmy rzadkie (płyn) a potem jako drugie danie to gęściejsze. My z Efem przynosiliśmy czasem z pola ćwikłę-burak. Wrzucony do ognia oblekał się słodką warstwą. Krajany na plastry zastępował cukier do herbaty - wrzątku. Tak jak poprzednio, starsza Henia była “królową” naszej kuchni. Ona dzieliła porcje chleba i zupę. Później nauczyła się wróżyć z kart, interpretować sny i komentować listy z frontu od mężów i synów. Dostawała za to miskę kiszzonej kapusty, kwaśne ogórki, trochę cebuli i czosnku. To nam pomogło urozmaicić trochę nasze menu. Miejscowe kobiety bardzo wierzyły w jej przepowiednie. Przy tym wszystkim rosyjskiego prawie, że nie znała; większość słów była polskich – co tylko dodawało koloraturę jej przepowiedniom. Nigdy później rosyjskiego tak i nie nauczyła się.

Pewnego dnia dostaliśmy list z sowchozu od Mani, Klary i Wila. Bardzo płaczący. Zapytywali czy im wybaczymy ich brzydkie postępowanie w eszatonie i czy mogliby się do nas przyłączyć, bo tam jest im bardzo źle. Odpisaliśmy, że tak. Nie tyle ze względu na Manię i Klarę ile na Wila. On przecież był synem starszej siostry Heni. W jakiś dzień ta cała “marnotrawna” trójca się pojawiła. Przyjeliśmy ich do nas. Urządziliśmy im legowisko na słomie obok nas. Mania wolała spać na stole - pół metra na metr. Jak ona to ptrafiła? Za naszą “protekcją” przyjęto ich do pracy w kołchozie. Wspaniałomyślnie zaakceptowaliśmy ich jako pełnoetatowych członków naszej kulinarnej wspólnoty. W naszym wiadrze jeszcze pozostało trochę wolnej przestrzeni tyle tylko, że musiało być dokładnie wypoziomowane ażeby ta rzadka zupa się nie wylewała. Widocznie w tym sowchozie musieli się bardzo nałykać biedy, bo nie mogli się nachwalić naszych warunków kołchozowych.

W międzyczasie Wilo zachorował na tyfus. Ja go odwiozłem do rejonowego szpitala w Leninpolu, jakieś 12 kilometrów od nas. Jego porcję chleba ciocia Henia mu suszyła na suchary, że jak wróci to żeby miał się na czym poprawić. Miał szczęście i rzeczywiście wrócił. W tym czasie bardzo wiele ludzi umierało na tyfus. Że ja od niego się nie zaraziłem to naprawdę cud. Leżałem przecież najbliżej niego, wprost na przytyk.

Za to przyczepiła mi się krwawa “sraczka”. Sam, bez pomocy dobrałem się do tego samego szpitala gdzie przedtem Wilo leżał. Widocznie mój przypadek nie był za bardzo ciężki bo po dwóch tygodniach mnie wypisali. W szpitalu było mi bardzo dobrze; prawdziwe łóżko z białym prześcieradłem i przewleczonym kocem do przykrycia. Leżałem rozebrany – uczucie dawno zapomniane. Trochę karmili, nie za wiele. Zapamiętałem nadzwyczaj sympatyczną lekarkę. Wszyscy się do niej zwracali per Zinajda Chasanowna (widocznie Tatarka).

Wróciłem do kołchozu do mojej pracy w kuźni. Obok był żółbek dla maluchów. Czasami robiłem dla nich drobne naprawy i za to dawali mi zjeść obiad. Dzieci w tym żółbku bardzo dobrze odżywiano. Pewnego dnia dostaliśmy list od naszego najstarszego brata, Szlomka. Znalazł nas poprzez Bugurusłan. Tam było centralne biuro informacyjne dla ewakuowanych i czasem przez nich udawało się kogoś odnaleźć. Z moją siostrą Henią bardzośmy się tym listem ucieszyli.

Stolicą Kirgizkiej Republiki było miasto Frunze. W pobliżu tego miasta przepływał kanał Czujski (nazwa pochodziła od rzeki Czu). Na peryferiach miasta Frunze rząd zamierzał wybudować zaporę wodną i hydro-elektrownię. Przedsięwzięciu temu nadano nazwę: "Be.Cze.Ka.- Woroszyłowska GES" (Be.Cze.Ka. – Bolszoi Czujskij Kanał, GES-Hydro-Elektro-Stacja). Kolosalne przedsięwzięcie w którym miała uczestniczyć cała ludność Kirgizkiej Republiki - każde miasto, fabryka, kołchoz były zobowiązane dostarczyć określoną liczbę dni roboczych ze swojego budżetu.

Dla kołchoźników był to poważny problem związany z pozostawieniem samopas swoich gospodarstw na jakiś czas. W końcu znaleziono wyjście. Postanowiono nas, ewakuowanych, bezposiadłościowych "włóczęgów" tam postać i tym samym wypełnić nałożone na kołchoz zobowiązanie. Wytypowano naszą trójkę: moją siostrę Henię, Wila i mnie. Wyposażono nas nieźle – chleb, suchary, topione masło krowie, krupy, gotowane jajka i temu podobne skarby.

Przygodnymi ciężarówkami i pociągiem dobraliśmy się do tego gigantycznego placu budowy. Był to etap robót ziemnych. Techniki było bardzo niewiele. Ziemię kopało się ręcznie i przenosiło na drewnianych "nosiłkach" po dwóch ludzi na nosiłkę. Zebranych na tej budowie było chyba dziesiątki tysięcy ludzi. Odniosłem wrażenie, że chyba Egipcjanie musieli budować te swoje piramidy przy większym użyciu środków technicznych aniżeli ci budowniczości tutaj. Może być, że tak było w początkowym tylko okresie. Bo przecież w ten sposób było niemożliwe zbudować taki kolosalny obiekt. Sowieci się przecież musiało spieszyć, bo tam miał powstać duży kompleks przemysłu zbrojeniowego – ogromny konsument energii elektrycznej. Podobno później to się kardynalnie zmieniło, ale mnie już wtedy tam nie było.

Pobudowano miasteczka namiotowe wokół placu budowy. Karmiono nieźle. Przy odrobinie sprytu można się było dostać na tzw. listę "Stachanowców" - przodowników pracy i korzystać z dodatkowych błag i przywilejów przysługujących temu tytułowi: dodatkowe jedzenie, półkoszulki, mydło a nawet prawdziwą herbatę. Kultury za to było do rozpuku. Orkiestry dęte i rżnięte, występy artystyczne, wieczory taneczne (tańczyły kobiety z kobietami), kina i temu podobne. Sowieci zawsze byli mistrzami w dostarczaniu igrzysk na wzór starożytnych Rzymian. A może wzorowali się na hitlerowskim "Kraft Durch Freude" ? U Sowieców wszystko było możliwe. W związku z tym przypomniał mi się stary dowcip. Na egzaminie z historii starożytnej student na pytanie kto to był Arystoteles wypalił bez chwili wahania: Arystoteles to był Rosjanin, który udawał Greka.

Nastąpiło lato 1942-go roku. Zaczął się pobór do wojska mego rocznika (1924). Ja nabrałem ochotę na wojsko, nie miałem tylko tej pewności czy mnie nie odrzucą jako "zapadnika", byłego polskiego obywatela do 39-go roku. A takich wtedy nie tylko, że nie brali, ale wyganiaли z wojska. Żadne perswazje bliskich mi ludzi do mnie nie docierały. Pomyślałem - spróbuję, a nuż się uda. Z grupą chłopaków z budowy, tylko bez mojego "feleru" biograficznego zgłosiliśmy się do komendy wojskowej. Wszyscy przeszli. Kiedy przyszła moja kolej, na pytanie skąd jestem odpowiedziałem bez wahania, że z Ukrainy i palcem wskazałem na mapie Drohobycz. Na jego mapie te tereny nosiły czerwony kolor tak, jak reszta terenów Z.S.R.R. z tym tylko, że ta czerwień byłych polskich terenów zaanektowanych przez Sowieców była nieco jaśniejsza. Może być, że ten oficer był lekkim daltonistą i nie zauważył tej nieznacznej różnicy kolorów. Popatrzył i zakonkludował - w porządku.

W ten sposób zostałem żołnierzem Sowieckiej Armii, z własnej i nieprzymuszonej woli, jakkolwiek nie musiałem. Najważniejszym motywem mojej decyzji była nieprzepracowana chęć zemścić się w jakiś sposób na tym podłym narodzie niemieckim za śmierć moich bliskich. Na budowę więcej nie wróciłem. Później, po powrocie do kołchozu moja siostra odebrała za mnie należną mi zapłatę w ziarnie za przepracowane trudodni. W komendzie wojskowej sformowano grupę i wysłano w głąb Rosji na przeszkolenie. Dojechaliśmy do jakiejś stacji, nazwy nie

pamiętam. Co zapamiętałem to, że piechotą dobraliśmy się do wsi Anienkowo. Tam nas umundurowano i ulokowano w budynku szkolnym. Długo tam miejsca nie zagrzałem. Zjawili się tzw. “kupcy” werbujący do szkoły wojsk łączności. Ja byłem jednym z nielicznych kandydatów do tej szkoły. Może być, że pomogła mi w tym moja dwuletnia nauka w drohobyckiej szkole technicznej. Zawieziono mnie do miasta Kuznieck w Tambowskim województwie. Była to wydzielona kompania wojsk łączności na prawach batalionu. Dowódcą szkoły był oficer rezerwy, w cywilu profesor wyższej uczelni; bardzo dystyngowany, elegancki i kulturalny człowiek. Za koszary służył budynek szkolny. Całe dowództwo mieszkało poza obrębem koszar, na prywatnych kwaterach. Dyscyplina była dosyć ostra ale nie napastliwa. Kuchnię wybudowano w podwórzu z belek przynoszonych z pobliskiego lasu, za każdym razem kiedy wracaliśmy z ćwiczeń polowych do koszar. Lekcje nasłuchowe i nadawanie kluczem według alfabetu Morse’a odbywały się wewnątrz budynku, co było dużym plusem, z uwagi na srogą zimę 42-go roku. Karmiono nas dosyć skąpo, tak zresztą jak w innych jednostkach wojskowych. Zawsze chciało się jeść. W naszej kuchni stołowali się razem z nami tylko podoficerowie-instruktorzy. Oni jednak potrafili się urządzać tak, że im głód nie dokuczał. Dowództwo szkoły – oficerowie, z naszej kuchni nie korzystali. Widocznie mieli jakieś specjalne, oficerskie kantyny, albo też fasowali suchy produkt który oddawali swoim gospodyniom na kwaterach i u nich się stołowali.

Szkoła była podzielona na dwie sekcje - przewodową telefoniczną i bezprzewodową radiową. Ja zostałem przydzielony do sekcji bezprzewodowej-radiowej. Dużo godzin dziennie ćwiczyliśmy nadawanie i odbieranie alfabetem Morse’a. Stosunkowo szybko doszedłem do wysokiego stopnia nadawania i odbierania na słuch. Potrafiłem odebrać na słuch 17 grup cyfrowych na minutę. Z czasem doszedłem do takiej perfekcji, że słuchając radio, potrafiłem na głos odczytywać nie tylko cyfrowe ale też i literowe teksty.

Nie mało było zajęć z dziedziny wychowania politycznego. Wiele razy byłem wyróżniony w kompanijnej gazetce ściennej. Nie to, że aż taki byłem dobry ile to, że moi kompanijni współtowarzysze byli gorsi ode mnie. Przecież byłem “zapadnikiem”. No nie ?

Niekiedy wysyłano nas na pełnienie służby garnizonowej. Kilka razy brałem udział w obławach przy wyławianiu dezertersów. Przeważnie w nocy wpadaliśmy do mieszkań, przeprowadzali rewizje, szukali na strychach i w piwnicach – wszystko to na podstawie “cynków” od tych którzy się tymi sprawami zajmowali. Było trochę niebezpiecznie bo jak nas ostrzegano, dezerterszy czasami miewali broń palną i tak łatwo się nie poddawali, dobrze wiedząc co ich czeka. Na moich zmianach tego nie było. Na innych bywało. W takich wypadkach był rozkaz rozstrzelania za opór i nie iść na żadne ryzyko. Niekiedy miewałem służbę w tzw. trybunale wojskowym (sąd). Tam sądy odbywały się przeważnie w nocy (dlaczego ?). Przyłapanych dezertersów przyprowadzano od razu do tego trybunału. Ubrani byli po cywilnemu. Każdy taszczył ze sobą wór z żarciem: chleb, suchary, słonina, cebula, czosnek, sól. Widocznie szykowali się na dłuższe ukrywanie. A może myśleli, że niedługo wojna się skończy i będzie amnestia dla takich jak oni ? Byli tacy co czekali na Niemców i wtedy to wogóle by im wszystko przebaczone a może nawet jakiś medal by dostali ? Przeważnie byli to chłopci ze wsi, prostaczkowie. Miejscy ludzie na to nie szli. Za dobrze znali tę swoją sowiecką władzę i wiedzieli czego można od niej oczekiwać. Tryb postępowania sądowego był bardzo krótki - najwyżej 5-7 minut na każdego delikwenta. Wyroki były standartowe – 10 lat z natychmiastową wysyłką na front do karnego batalionu. Tam nie trzeba było nic umieć. Leżeli w okopach – przed sobą mając Niemców, a za sobą tzw. zaporowe oddziały wojskowych enkawudzystów. Sędziowie wojskowi, w mundurach, pracowali bardzo wydajnie. Za noc mogli “nastukać” 60-iu delikwentów, każdy po 10 lat co w sumie dawało około 600 lat za jedną tylko noc. Ładna cyfra, nie ma co. Specjalnej skruchy u sądzonych nie mogłem się dopatrzeć. Żadnych też czy błagań o zmiłowanie nie było. Oni uważali, że i tak już są na wygraną. Bo za ten czas “uników” mogli ich przecież dziesięć razy zabić na froncie. Widocznie uważali, że nawet w karnym batalionie mają jakąś szansę ujsć z życiem; wprawdzie kaleką, ale jednak z życiem. W ich pojęciu, bez ręki czy bez nogi też można żyć. Mieli swoje źródła informacji według których rannych w boju, nawet

tych “karniaków” czasem podbierano i odprowadzono do normalnych szpitali wojskowych jako takich co to krwią odkupili swoją winę wobec ojczyzny. Tego rodzaju teorię oni sobie sami wymyślili i nawet w nią wierzyli. A jak było naprawdę ? Chyba nie tak jak oni sobie wymarzyli. Oficerów w tym sądzie nie sądzono. Ten sąd był tylko dla “prostaczków”. Dla oficerów były inne sądy. Tam ferowano wyroki według innych standartów – za dezercję, rozstrzelanie i to w natychmiastowym trybie. Za drobniejsze przewinienia – kompletna degradacja do stopnia szeregowca, i to czasem nawet bez wysyłki do karnego batalionu. Do tego jednak trzeba było być urodzonym pod szczęśliwą gwiazdą. Wysyłano takiego zdegradowanego do innej jednostki, gdzie zaczynał swoją karierę od nowa, pod bacznym okiem odpowiednich organów. Skąd o tym wszystkim wiem ? Opowiadał mi jeden z sędziów, nawet dosyć sympatyczny, w czasie przerwy na papierosa. Bo sędziowie, nawet ci wojskowi, to też ludzie i czasem szukali odprężenia w dymku od papierosa.

Kurs ukończyłem jako radiowiec-operator systemu bezprzewodowego według alfabetu Morse’a. Absolwentów kursu rozdzielono po różnych jednostkach wojskowych. Dużą część naszych kursantów wcielono do korpusu wojsk ekspedycyjnych na Dalekim Wschodzie. Mnie również proponowano. Odmówiłem i do dziś nie wiem dlaczego. Czyżby dlatego, że chciałem być bliżej Niemców ażeby wypełnić moją wewnętrzną obietnicę zemsty ? Być może.

Zostałem przydzielony do nowoformującej się 163-iej brygady strzelców stacjonującej w lasach niedaleko miasta Penzy. Miała to być brygada złożona z amnestionowanych przestępców kryminalnych. Żadnych więźniów politycznych, bo ci nigdy żadnej amnestii nie podlegali. Byli tam też tacy którzy odbywali kary jeszcze z czasów rewolucji. Dla nich łagry GUŁag –u były jak gdyby “domem rodzinnym”. Rzeczywistych domów rodzinnych na wolności nigdy nie mieli. O swoim życiu łagrowym opowiadali niestworzone rzeczy. Nawet słuchać - i to było straszne. Takich młodych jak ja, nigdy nie sądzonych, z czystą kartą, przysyłano do tej brygady z uwagi na uzyskane kwalifikacje wojskowe: telefonistów, operatorów radiowych, saperów, chemików itp. Samemu trzeba było sobie budować tzw. “ziemlanki” zagłębione w ziemi na głębokość jednego metra, przykryte dachem z pali drzewnych obłożonych gałęziami. Budulca – ile dusza zapagnie. Za postanie służyło usypisko z ziemi obudowane palami. Do spania żeśmy się nie rozbierali - wręcz odwrotnie, każdy naciągał na siebie wszystko co miał. Na zewnątrz był śnieg i mróz. Wewnątrz trochę cieplej, o tyle na ile zdołaliśmy nadyszeć ciepłem z naszych płuc. Z czasem urządziliśmy sobie palenisko wewnątrz, chociażby dla podsuszania “walonek” (butów filcowych). Co dziesięć dni prowadzono nas do łaźni do pobliskiej Penzy. Niekiedy dostawaliśmy jedną gazetę, “Prawdę”, na ziemiankę. Jako ten najbardziej “wykształcony”, ja miałem czytać na głos i wyjaśniać co nie było moim słuchaczom jasne – na tyle na ile mnie było stać.

Przypominam sobie taki długi artykuł na temat tzw. Wojny Totalnej i mowy Goebelsa na ten temat. W artykule był wspomniany “Mein Kampf” Hitlera. Jeden ze słuchaczy zapytał co to takiego ten “Mein Kampf”, bo kto był Hitler wszyscy wiedzieli; to przecież przeciw niemu mieliśmy walczyć. Starłem się w prostych słowach wytłumaczyć co to jest. Dopiero później zdałem sobie sprawę, że za to tłumaczenie byłem o krok od utraty wolności a może i życia. Okazało się, że ktoś z moich “współmieszkańców” doniósł na mnie, że jakoby chwaliłem “Mein Kampf” i Hitlera. Czy trzeba było wioęcej ? Moje szczęście polegało na tym, że ten kapitan zajmujący się tymi sprawami znał mnie z tego, że często miewałem nocny dyżur przy radiostacji umieszczonej w ziemiance dowódcy naszego batalionu. W tejże ziemiance “załatwiał swoje sprawy”, zawsze nocą, tenże kapitan. W “wolnych” chwilach lubiał sobie ze mną pogawędzić, tym bardziej, że wiedział, że jestem “zapadnik”. On sam pochodził z Leningradu i w latach 39-41 służył we Lwowie i był nim zafascynowany; po prostu piał z zachwytu. Widocznie jakiś lwowski “bakcył” zdołał się w nim zagnieździć. Po kilku dniach wezwał mnie i w ostrych słowach zażądał wyjaśnień na temat tego gazetowego incydentu. Wszystko dokładnie opowiedziałem, niczego nie ukrywając, bo i nie było co ukrywać. Słuchał, słuchał świdrując mnie oczyma. Zapytał skąd wiem o “mein Kampf” i o Hitlerze ? Powiedziałem, że przecież on wie, że do wojny mieszkałem w kapitalistycznej Polsce. Tam wszystko było dozwolone, włączając “Mein Kampf” i inne,

podobne plugawstwa. Chwilę pomyślał i powiedział: słuchaj, masz szczęście, że na mnie trafiłeś, wracaj do siebie i nie próbuj się więcej wymądrzać, bo to się może bardzo źle skończyć. Dana mi “życzliwą” radę mocno sobie wziętem do serca, podziękowałem, zsalutowałem i wróciłem do swojej ziemianki. A mogłem i nie wrócić. Kapitan miał rację. Miałem szczęście. Trochę sympatyczny to ten kapitan jednak był. No nie ? Później udało mi się tego “stukacza” zidentyfikować. Co raz to przychodził z innymi pytaniami o dawnyemu życiu w Polsce. Na wszystko miałem gotową odpowiedź - nie pamiętam, nie wiem. Widocznie jemu dane było zadanie w dalszym ciągu dostarczać informacji o mnie.

Zdrowotnie zacząłem się źle czuć. Pod pachą pojawił się guz wielkości gęsiego jaja a na szyi obok obojczyka otworzyło się coś w rodzaju furunkla z którego stale ciekła ropa. Z dnia na dzień traciłem siły. Przestałem jeść. Batalionowy felczer nie mógł określić co to jest i postanowił odprawić mnie na badania do Penzy. Tam od razu skonstatowali, że jest to gruźlica gruczołów limfatycznych i to w formie zaraźliwej z powodu otwartej, nie gojącej się rany. Takich wojsko nie chciało. Posłano mnie na komisję lekarską i ta mnie od razu zwolniła z dalszej służby. Dostałem bilet kolejowy i trochę produktów na drogę. Sam miałem się dobierać do mojego kołchozu. Sił mi codziennie ubywało, ale jakoś dowlokłem się.

Moja siostra, Henia zdążyła wrócić z Be.Cze.Ka. W kołchozie dzielono roczny dochód w postaci ziarna i trochę w gotówce. Wilo jeszcze trochę został i dopiero później wrócił. W międzyczasie, jeszcze przed moim powrotem zjawił się nasz brat, Fredek.

W Wodnym, obok kołchozu istniał rodzaj ni to spółdzielni ni to kooperatywy rzemieślniczej. Co oni tam produkowali – nie pamiętam. Co zapamiętałem, to takiego chemika z bożej łaski, ewakuowanego z Rygi. Miał beczkę w której “kisił” różnego rodzaju owady i robaki i z tego ponoć robił mydło w postaci lepkiej mazi. Żyło mu się z tego nieźle, bo prawdziwego mydła w tym czasie ludzie na oczy nie widzieli. Kooperatywa nazywała się “Krasny Majak”. Najważniejszą tam figurą był były carski policjant, po rewolucji zesłany w te strony. On się umiał przysposobić i żył sobie nieźle. Policjantów, nawet byłych, każdy reżym potrzebuje. Oni każdym władcom zawsze wiernie służą. Nasz Fredek dostał w ramach tej kooperatywy nieduże pomieszczenie i założył fryzjernię która nawet nieźle prosperowała. Jak się dzielił zarobkiem z kooperatywą - pojęcia nie mam. W ramach fryzjerni wydzielił sobie trochę przestrzeni z zasuwaną kotarą i tam mieszkał.

Do kołchozu przysłano wielu inwalidów wojennych, w tym jednorękich i jednonogich. Kołchoz miał obowiązek ich zatrudnić - każdego w ramach jego możliwości fizycznych – i zapewnić mu utrzymanie. Trzeba przyznać, że dosyć przyzwoicie się z tego wywiązywał. W Wodnym, w kołchozie i w Majaku odczuwał się dotkliwy brak rąk do pracy. Rosjan i Kirgizów zmobilizowano do wojska. Niemców zabierano do “stroj batalionów”; wielu z nich aresztowano i wysyłano do łagrów. Pozostali tylko ludzie w podeszłym wieku. Wielu więc inwalidów porobiło “kariery matrymonialne”. Niektórzy się nawet poženili z miejscowymi kobietami. Inni żyli na tzw. “kocią łapę” i z góry się zastrzegli, że po wojnie wrócą do swoich rodzin, na tereny obecnie okupowane przez Niemców. Wyglądało to nawet dosyć uczciwie i większość miejscowych kobiet akceptowała takie postawienie sprawy. One również, po wojnie zamierzały restytuować swoje przedwojenne związki rodzinne. Jak to w rzeczywistości wyglądało później, po wojnie – nie wiem, bo mnie tam wtedy już nie było.

Mój stan zdrowotny pogarszał się coraz bardziej; cierpiałem na kompletny brak apetytu. Ważyłem 39 kilogramów. Byłem bardzo wychudzony, poźółkły. Pracować nie byłem w stanie, nawet poruszanie się sprawiało mi trudności. Moja siostra Henia robiła nadzwyczajnie wysiłki ażeby mi pomóc. Dostawała różne drogie i rzadkie produkty, byle bym tylko jadł. A ja nie byłem w stanie. Jedzenie mi po prostu nie przechodziło przez gardło. Gdyby nie jej bezgraniczne oddanie i troska o mnie – na pewno bym umarł. Co wiedziałem i w czym byłem przekonany, że jak powróci mi apetyt i zacznę jeść - to powrócę do zdrowia.

Pewnego dnia, przed fryzjernią Fredka zatrzymała się dwukółka (rodzaj bryczki na dwóch kołach) powożona przez milicjanta – Kirgiza. Wysiadł z niej oficer – lejtnant w czapce z

niebieskim denkiem i czerwonym otokiem (N.K.W.D.) , stanął w progu, wyciągnął pistolet z kabury i powiedział: nu, Szrajer kończ te swoje sprawy, my mamy z tobą do pogadania. Fredek był w trakcie golenia klienta. Byliśmy przy tym – Wilo i ja. Lejtnant zrobił bardzo pobieżną rewizję. Pod siennikiem była paczka banknotów, spytał czyje to, Wilo powiedział, że jego. Zostawił je. Fredek, blady wsiadł do bryczki, obok niego enkawudzista. Ruszyli. Do Leninpola.

Po kilku dniach mnie zawezwano do Leninpola. Z kołchozu mnie tam zawieźli. Przyjął mnie Sowiet, w wojskowej bluzie, bez jednej ręki, widocznie śledczy. Baczenie mi się przyglądał; ja również byłem w wojskowej bluzie. Zaczął się wypytywać co tu robię, kiedy zostałem zwolniony z wojska i widocznie doszedł do wniosku, że ten strzęp człowieka, to znaczy ja w niczym jemu nie pomogę. Jeszcze raz mi się przyjrzał, podpisał przepustkę i kazał mi wracać do kołchozu. Przez cały czas oczy mu błyszczały zastrasząco. Dzisiaj bym go określił, że był pod narkotykami. Wtedy chyba musiał być pod alkoholem. Później dowiedzieliśmy się, że był na Fredka donos ze strony uciekiniera z Moskwy, Dodin się nazywał, który w ten sposób chciał sobie “zarobić” zezwolenie na powrót, skąd za wcześniej uciekł zostawiając żonę na pastwę losu. Bo z Moskwy jako takiej, ewakuacji nie było; byli tylko uciekinierzy.

Fredkowi zarzucano, że wychwałął niemieckie uzbrojenie. Znalaziono przy nim przedwojenną fotografię w polskim mundurze wojskowym. Służbę w wojsku polskim odbywał w Rzeszowie, w 22 P.A.L. –u, z tego tytułu na epoletach miał liczbę 22. Fotografia była postarzała i niewyraźna i tę liczbę 22 śledczy wziął za dwie gwiazdki i stąd wywnioskował, że miał rangę porucznika, a jeżeli porucznik, to powinien był podzielić los 12-u tysięcy oficerów polskich zamordowanych w Katyniu. i nagle się odnalazł. Nic innego, tylko musiało mu się udać uciec i uniknąć śmierci. Teraz będzie musiał za to zapłacić. Na zaimprovizowanym sowieckim sądzie, na podstawie tego strasznego paragrafu – 58/10 część II za kontrewolucyjną agitację w czasie wojny - został skazany na 10 lat z odbywaniem kary w dalekich łagrach. Te 10 lat odsiedział “od dzwonka do dzwonka” jak się mówiło – od 15-go lipca 1943-go roku do 15-go lipca 1953 roku. (pracował w kopalni węgla). Ani jednego dnia mu nie darowali. Żadnej amnestii dla byłych polskich obywateli, a były ich kilka, jego nie objęły.

W mojej chorobie widocznie musiało nastąpić przesilenie. Guz pod pachą się zmniejszył, ropiejąca rana na szyi zasklepiła się, i co najważniejsze, zaczął mi wracać apetyt. Zacząłem jeść i szybko się poprawiać. Wracały mi siły. Ciekawa rzecz – bez żadnego leczenia, bez lekarstw – jak przyszło tak poszło. Tylko czy na długo ?

W kołchozie robiło się coraz skwietniej. Obowiązkowe dostawy dla państwa zabierały prawie wszystko i do popdziału na trudodni pozostało niewiele albo wogóle nic. Kołchoźnicy musieli żyć wyłącznie ze swoich działek przyzagrodowych. A my co ? Nikogo to nie obchodziło.

UZBEKISTAN, WOJSKO (II), FRONT, NAWRÓT CHOROBY, SZPITAL, KONIEC Z WOJSKIEM

Poprzednio wspominałem, że poprzez Bugurusłan odnalazł nas nasz najstarszy brat, Szłomku. Według ostatnich posiadanych przez nas informacji, miał on znajdować się w jednym z sowchozów na terenie Uzbekistanu (nazwy nie pamiętam). Nasza sytuacja w Kirgizkim kołchozie “Min Bułak” coraz bardziej stawała się nie do zniesienia. Postanowiliśmy dobrać się do tego sowchozu i połączyć się z bratem. Przygodnymi furmankami, ciężarówkami a niekiedy i pieszo dotarliśmy w końcu do tego sowchozu. I co się okazało, że jego już tam nie było. W międzyczasie zdążył ożenić się z lekarką, W.S., i razem opuścili ten sowchoz. Ci nasi informatorzy pozwolili nam u nich przenocować i podali nazwę miejscowości w której prawdopodobnie będziemy ich mogli znaleźć.

Opierając się na tym “prawdopodobieństwie” puściliśmy się w drogę. Dotarliśmy do miejscowości Pogran - Orłowski w Taszkienckim województwie. Była to wprawdzie wieś, ale duża i widocznie o szerszym znaczeniu międzykomunalnym. Tam znaleźliśmy naszego brata, Szłomka, z jego nową żoną, Walentyną (W.S.), i niedawno urodzonym maleństwem – synkiem Seriożką.

W.S., lekarz z wykształcenia, kierowniczka miejscowego szpitalika i ambulatorium. Pochodziła z rodziny trochę niżej “średniaków”. Rodzice mieli domek w małym miasteczku, Syr Darii, niedaleko Taszkienu. W rodzinie było, oprócz rodziców, czworo dzieci: dwie siostry – starsza Aleksandra (Szura) i Walentyna (Wala) oraz dwóch braci – starszy Nikolai (Kola) i Wsiewołod (Siewka). Szura mieszkała w Taszkencie i pracowała na eksponowanym stanowisku w K.C. Uzbekistanu, rozwiedziona (mąż był podobno Żydem, stąd pewne animozje w tym kierunku). Kola w tym czasie służył w wojsku. Siewka, w owym czasie nieletni, mieszkał u Wali.

Myśmy z Henią zamieszkali u nich; tak postanowił nasz brat, i jego żona, chcąc nie chcąc, musiała się na to zgodzić. Jak na tamtejsze warunki mieszkanie było dość obszerne (chyba ze 3 pokoje). Henię urządzono do pracy w szpitalu-ambulatorium jako siostrę-administratorkę. Chodziła w białym chałacie i zajmowała się administracją. Brat, Szłomku, tamo go nazywali Sałomon Majorowicz, pełnił funkcję inspektora sanitarnego i z tego tytułu miał nadzór nad miejscową piekarnią wypiekającą chleb kartkowy. Od czasu do czasu przynosił do domu jeszcze nie ostygły chleb z czego nam, po kryjomu, dawał część. W domu była też służąca, Aga, dziewczucha z Barnaulu (miasto na północy Kazachstanu) która w tym rejonie odbywała karę za jakieś administracyjne przewinienie. Wali udało się wydostać, rzekomo do pracy w szpitalu. Aga prowadziła im gospodarstwo i zajmowała się dzieckiem, Seriożką. Z nią byliśmy na bardzo przyjaznej stopie. Ja, z ramienia ambulatorium roznosiłem chininę chorym zarejestrowanym jako malarycy w nie-szpitalu. Malaria w tym rejonie miała ciężki, tropikalny przebieg i była uznawana jako choroba socjalna, podobnie jak gruźlica. Nie przypominam sobie czy i ile mi płacili. Co było ważne, że to dawało mi prawa na kartkę chlebową. Pigułkę wydzielaną malarykom musieli oni przetykać w mojej obecności, bo inaczej używali ją jako barwnik (chinina miała bardzo intensywny, trudny do zmycia, żółty kolor).

Po Fredku zostały jego narzędzia fryzjerskie. Nauczyłem się trochę z nich korzystać i stąd też proponowałem swoim “pacjentom” – malarykom strzyżenie. Fryzjera w tej miejscowości nie było i dlatego czasem chętnie na to przystawali, odwdzięczając się kilkoma ogórkami, cebulą, paroma kartoflami. Nam z Henią to dużo pomagało, bo na tym gotowaliśmy te swoje zupy szczawiowe. Dla naszej dwójki, my z Henią prowadziliśmy oddzielną, swoją “kuchnię”. Siewka nie pracował i jako nieletni dostawał zredukowaną kartkę chlebową. Wodę czerpaliśmy z przechodzącego obok naszego domu kanału irygacyjnego. Siewka nauczył mnie jak się łowi ryby przy pomocy wideł. Czasami się to udawało i wtedy gotowaliśmy zupę rybną tzw. “uchę”. Na ile sobie przypominam, wodociągów i kanalizacji w tym rejonie nie było. Wodę do szpitala przywożono beczką. Pacjentom szpitala jedzenie przynosiły rodziny; kuchni nie prowadzono.

Taki reżim był możliwy tylko dlatego, że nie było “wyleżywania”. Pacjentów w szpitalu przetrzymywano najdłużej po kilka dni, dlatego też ludzie nie kwapili się z hospitalizacją; woleli swoje pielesze domowe.

W okolicy było trochę ewakuowanych z terenów zajętych przez Niemców. Byli też zesłańcy sprzed czerwca 41-go roku z terenów byłej Rumunii zaanektowanych przez Sowieców w 39-ym roku. Chodzi o tzw. “burżujów” z paragrafem S.O.E. w paszporcie (dowodzie osobistym). S.O.E. znaczyło Socjalno Opasnyj Element. Po ich ubiorze można było wyobrazić sobie ich status społeczno-towarzyski w poprzedniej ojczyźnie. Oni już tam w Pogranie byli przed nami, kiedy wojny jeszcze nie było; im pozwolono wtedy zabrać ze sobą wiele rzeczy osobistych. Z miejscowymi na ogół się nie kumali. Utrzymywali pewien dystans towarzyski. Większość z nich to nie byli Żydzi. Szpital dysponował furmanką z koniem. Nie pamiętam co się koniowi stało; musieli go dobić jeszcze nim zdechł. Myśmy z niego dostali te lepsze kaski, włączając wątrobę. Służąca Aga potrafiła z tego konia przygotować nawet niezłe dania. Wtedy poraz pierwszy i chyba ostatni raz jadłem koninę.

Od czasu do czasu jeździliśmy do Taszkientu na kupno jakichś “duperelowatych” towarów odsprzedawanych później na miejscowym bazarze. Pociąg do Taszkientu przejeżdżał jakieś 10 kilometrów od naszej wiochy. Ażeby się do niego dobrać trzeba było wychodzić o drugiej w nocy z domu. Te wojaże były związane z dużym ryzykiem. To był pociąg pasażerski, tranzytowy, zawsze przepełniony; trudno było się do niego dostać. Grasowała w nim różnego rodzaju “szpana” – bandyci, którzy obrabowywali podróżnych i czasem nawet wyrzucali z pociągu. Biletów kolejowych się nie kupowało, bo konduktorzy siedzieli zamknięci w swoich przedziałach. Wszelka kontrola była niemożliwa. Oni sami też się bali tych bandziorów. Co było robić? Życie przecież trzeba było i dlatego musiało się iść na to ryzyko. Bazar był jakieś 5 kilometrów od nas. Na samym bazarze często, gęsto bywały obławy przeprowadzane przez miejscowych milicjantów - Uzbeków; odbierali “towar” i zazwyczaj puszczały wolno. Ci milicjanci też musieli żyć. Oprócz milicji, na bazarze grasowały tubylcze gangi i u nich też się trzeba było wykupywać. Chłopi – Uzbeki z okolicznych wsi przyniesili na sprzedaż różnego rodzaju produkty. Za worek kartofli zawozili do domu prawie że worek pieniędzy. Ci chłopcy między sobą oganizowali swego rodzaju “samoobronę”. Trzymali się kupa, jeden drugiego pilnował i krył. Ich się ta “szpana” bała i do nich nie podchodziła.

W okolicy dużo było Koreańczyków przesiedlonych z Dalekiego Wschodu. W porównaniu do Uzbeków, reprezentowali dużo wyższy poziom socjalno-towarzyski. Wielu wśród nich było lekarzy, księgowych, inżynierów i innych wolnych zawodów. Zawsze dobrze ubrani, po europejsku, dystyngowani. Byli bardzo między sobą solidarni. Miejscowi ludzie ich unikali, podobno dlatego, że jedli psie mięso; nazywano ich “sobakojady”. Im to nie przeszkadzało. U nas w Drohobyczu kiedyś mówiono, że w życiu bywa tak, że jeden lubi rosół z makaronem a drugiemu nogi się poca. Nie wszyscy rozumieli sensu tego powiedzenia. To tak, apropos tych Koreańczyków.

Nie wiem czy ten stosunkowo krótki okres przebywania pod jednym dachem z nową żoną mojego brata daje dostateczną podstawę do określenia jej charakteru, do wydawania opinii o niej. Byłem przecież jeszcze za młody i za mało miałem doświadczenia życiowego. Dziś, mając za sobą przeszło 70 lat przeżytego życia, patrzę na to zupełnie innymi oczami. Prawdę mówiąc, do dzisiaj nie mogę pojąć czym się nasz brat kierował żeniąc się z nią i prowadząc wspólne z nią życie. Przecież już kiedyś przedtem miał rodzinę - żonę i córkę którą bardzo kochał. Przecież wtedy jeszcze nie mógł wiedzieć czy ta żona i córka żyją? Może być, że za bardzo byłem pod urokiem przywiązania i miłością naszego drugiego brata, Fredka, do jego rodziny. On nigdy, w żadnych okolicznościach nie zapomniał swojej żony, swoich dzieci. Zawsze w sobie hołubił gorącą nadzieję, że oni przeżyją i że on do nich wróci. O współżyciu naszego najstarszego brata, Szlomka, z jego pierwszą rodziną niewiele wiedziałem. Dopiero po wojnie, od niektórych jego bliskich przyjaciół dowiedziałem się nieco szczegółów. A były one, niestety nie za bardzo różowe, jak mnie się wtedy wydawało. Może być, że jego skłonność do ekstrawagancji,

próżność, pozycja społeczna tej nowej żony mu zaimponowała. Ta poprzednia żona była przecież tylko zwykłą krawczynią, ta druga zaś panią doktor ? A co jeżeli o tę drugą żonę chodzi ? Czym ona się kierowała ? Jakie były jej motywy, że zdecydowała się na ten związek ? Być może, że jej zaimponowała jego “zachodniość”. Przecież ona nigdy przedtem z takimś czymś się nie zetknęła. Dla niej to był wtedy świat fantazji. Bo co ona mogła wiedzieć o tym ubogim życiu w Drohobyczu ? Porównując jednak ogólnoludzkie walory tej pierwszej do tej drugiej, z całą pewnością mogę stwierdzić, że ta pierwsza przewyższała tą drugą o całą głowę. Tego dowiodło późniejsze, powojenne współżycie z tą drugą. O jednym fakcie opowiadał sam brat. Podczas jakiejś tam sprzeczki czy powiedzmy “gorącej” wymiany zdań wylało sztyło z worka. Widocznie wszelkie inne argumenty się wyczerpały i wtedy rzuciła mu w twarz ten najobrzydliwszy jaki może być w mieszanym małżeństwie: ty żadny Żyd ! (żadny znaczy chciwy). Wydawałoby się, że to żadne ajajaj. Przecież Żydzi w diasporze, każdej diasporze, od dwóch tysięcy lat słyszeli te obelżywe słowa, wszędzie – w handlu, w urzędzie, na ulicy i chyba powinni się byli do nich przyzwyczaić. Ale co innego jest taka obelga rzucona na ulicy przez chuligana, a zupełnie co innego we własnym domu i od własnej żony z którą dodatek jeszcze ma się wspólne dziecko. Widocznie bardzo musiało to nim wstrząsnąć, bo bez słowa zaczął pakować swoje rzeczy zabierając się do odejścia. Wtedy ona musiała się zreflektować czym to grozi i że to nie żarty. Rzuciła mu się do nóg z histerycznym płaczem i błaganiami o przebaczenie. Trudno powiedzieć jak długo ta scena trwała. Końcowy rezultat - że został. Czy przebaczył ? To już inna para kaloszy. Według mnie, tego rodzaju fakty są nieprzebacalne; ukrywają się głęboko w najdalszych zakątkach duszy i pozostają tam do końca życia.

W tym czasie zdrowotnie czułem się dobrze. Żadnych śladów przebytej choroby nie było. I znowu wróciła chętka do wojaczki. O moim postanowieniu powiadomiłem siostrę, brata i całą resztę. Żadne perswazje z ich strony nie pomogły. Wtedy ten “cherem” albo inaczey “kłątwa” nałożona na “zapadników” została uchylona. Zaczęto ich brać do normalnego wojska. Zgłosiłem się do komisji poborowej. Okazało się, że przewodniczącym tej komisji był rejonowy lekarz, Magzumow, który mnie znał, bo czasem przyjeżdżał na kontrolę naszego ośrodka i bywał gościem w naszym domu. Pierwsze jego słowa były: co ? pokłócisz się w domu ? Przedstawiłem mu swoją argumentację - czy go przekonałem ? Nie wiem. W każdym razie nakazał skrupulatnie mnie przebadać. Żadnych pozostałości po poprzedniej chorobie nie stwierdzono.

I tak znowu, po raz drugi w tej wojnie zostałem żołnierzem. Sformowano grupę, w tym pewną ilość “zapadników” i odprawiono do Ałma-Aty, stolicy Kazachstanu. Ulokowano nas w budynku szkoły (znowu szkoła, tak jak poprzednio, zapamiętałem nazwę ulicy: Artyleryjska), i umundurowano.

Przekrój socjalny naszego środowiska żołnierskiego był bardzo różnorodny. Przeważali obywatele – polscy i rumuńscy do 1939-go roku. Z tego co zdołałem się zorientować 80 procent to byli Żydzi. W każdym razie żydowska mowa rozbrzmiewała wszędzie i bardzo głośno. Z czasem nawet zacząłem odnosić wrażenie, że dowódca naszej kompanii, w cywilu nauczyciel, chyba zdołał sobie przyswoić parę słów w tym języku. Zauważyłem też, że gdy on był w pobliżu rozmowy ucichały. Przeciętny wiek wahał się w granicach 35 – 45 lat. Ja należałem do tych najmłodszych; takich jak ja było niewielu. Trafiali się nie-Żydzi. Była grupa baptystów. Oni robili wszystko co im kazano, za wyjątkiem jednej rzeczy – nie tykali broni. W tej mierze byli bezkompromisowi. Żadne groźby i kary nie potrafiły ich złamać. Po krótkim czasie zniknęli z widoku. Dokąd ich zabrali, gdzie się podzieli ? Nikt z nas nic nie wiedział.

Zapamiętałem jednego Ukraińca ze Lwowa. Nazywał się Knysz. Sam się chwalił, że w “cywilu” był złodziejem. Może to i nie powód do dumy, ale też i wstyd niewielki - według jego własnej “filozofii”. Z tego co opowiadał miało wynikać, że kradł tylko u bogatych. Czy rozdawał biednym ? Tego nie mówił. O Robin Hoodzie chyba nigdy nie słyszał. Zresztą, na takiego frajera nie wyglądał. We Lwowie Sowietci mu dali 5 lat za kradzież. Według niego, to nie tyle za to, że ukradł, ile za to, że nie zdążył należycie opanować metodę kradzieży według nowego,

sowieckiego systemu. Całego wyroku nie odsiedział. Zwolnili go na podstawie umowy Stalin – Sikorski jako byłego obywatela polskiego do 1939-go roku. Przed wojną służył w polskim wojsku i widocznie stąd jego wysokie wyniki w ostrym strzelaniu, za co go też wyróżniano na kompanijnych apelach. Do dowódcy mówił tylko po polsku; pytałem go dlaczego właśnie po polsku? Bo tak mi się podoba, niech się moskal po polsku nauczy. Pewnej nocy przyszli go zabrać. Widocznie za wiele paplał i to coś nie bardzo miłego dla sowieckiego ucha. Zalaź pod dolną pryczę - czekał, beczał, miaukał. W końcu go wyciągnęli i zabrali. Mnie jeszcze zdążył szepnąć: zobaczysz, gównu mi zrobią, mam swoje sposoby. I rzeczywiście. Pod koniec 45-go roku przypadkowo spotkałem go na ulicy w Taszkencie. Bardzo się mną ucieszył. No i co, powiada, nie mówiłem ci? Wszystkich ich wykołowałem i to tak, że nie tylko mi nic nie zrobili, ale też z wojska wyrzucili i na dodatek dali wariackie papiery i kazali na oczy się więcej nie pokazywać. Na pytanie co ty teraz robisz, uśmiechnął się po szelmowsku – a co mam robić? Do swojego starego fachu wróciłem. Słuchaj bracie, powiada do mnie, może w czymś trzeba ci pomóc? Dla ciebie wszystko zrobię. Fajny byłeś kumpel w tej Ałma-Acie. Obeszło się bez jego pomocy. Nigdy więcej go nie widziałem.

Większości w naszej kompanii kompanii powodziło się nieźle. Mieli dużo pieniędzy jeszcze z cywila. Niektórzy z nich nosili pod koszulą rodzaj “nacielnych” pasów w których trzymali swoje pieniądze. Kłopot tylko mieli kiedy prowadzono nas do łaźni. Widocznie i ten problem potrafili jakoś rozwiązać, bo nie słyszałem żadnych żalów z tego powodu.

W tym mniej więcej czasie w Ałma-Atyńskim studium filmowym nakręcano drugą część historycznego filmu “Iwan Groźny”. Batalistyczne sceny kręcono zazwyczaj w nocy, posługując się nami, żołnierzami. Przebierano nas w stare stroje i kazali coś tam wykrzykiwać. W jednej scenie ja i kilku innych przebranych za mnichów, z pochodniami, zbiegliśmy ze schodów z krzykiem: Na Kazań, na Kazań. Innym razem braliśmy udział w scenie koronacji. Wprowadzono nas do dużej sali ze stołami zastawionymi wszelkiego rodzaju dobrami kunsztu kulinarnego. W pierwszej chwili zaczęliśmy ślinkę przełykać i od razu bractwo szturmem puściło się na te zastawione stoły. Jakież było nasze rozczerowanie. Okazało się, że te wszystkie cuda gastronomiczne były sztuczne – z gipsu albo z drzewa. W tymże studio zobaczyłem kiedyś “żywego” Sergiusza Eisensztajna, czołowego sowieckiego reżysera (m.in. Pancernik Potiomkin) i Nikołaja Czerkasowa wybitnego sowieckiego aktora odtwarzającego główną rolę w tym właśnie filmie.

Ćwiczenia odbywaliśmy na polu wiczebnym 8 kilometrów od naszych koszar. Wyruszaliśmy wczesnym rankiem obładowani sprzętem ćwiczebnym. Podczas jednego ćwiczenia miał miejsce dość przykry incydent. Prowadził ćwiczenia młody, tylko co upieczony oficer – Uzbek. Zziębniętych, spoconych i obładowanych sprzętem doprowadził do bagniska i rozkazał kontynuować marsz poprzez bagnisko. Zatrzymaliśmy się. On, czerwony na twarzy ryczy: naprzód! A my nic – stoimy i ani kroku dalej. Drugi raz: naprzód! A my ciągle nic. Chcąc dać osobisty przykład, puścił się sam w to bagno. My stoimy i przypatrujemy się tej scenie bez jednego słowa, ale do bagna nie wchodzimy. Widocznie musiał się zreflektować w bezsensowności zaistniałej sytuacji, wyskoczył z bagna i poleciał szukać naszego dowódcę kompanii. Wrócił z nim. Dowódca kompanii strasznie na nas krzyczał, groził, pieniał się - ale do bagna nie zaganiał. Obaj odeszli i zostawili nas na skraju bagniska. Dopiero po kilku minutach zdaliśmy sobie sprawę z tego co zaszło i jakie konsekwencje będziemy musieli ponieść za niewykonanie rozkazu. Ciarki nam chodziły po plecach. W tym dniu więcej ćwiczeń nie było. Wróciliśmy do koszar i pełni obaw czekaliśmy na rezultaty naszego postępu. Ten młody oficer więcej się nie pojawił. Nasz dowódca kompanii też o tym nie wspomniał.

Widocznie ten incydent musiał być rozpatrywany na szczeblu wyżej kompanijnego, bo ukryć czegoś takiego przecież nie można było, a konsekwencje tej, mimo wszystko niesubordynacji mogły być niemiędotkliwie dla naszego dowódcy kompanii. Nasi “domorośli stratedzy i politycy” wygotowali mniej więcej taką wersję: naszego dowódcę a szczególnie tego młodego oficera musieli zdrowo “opieprzyć” i powiedzieć mu, że my, żołnierze to też ludzie z

krwi i kości i należało nam wpięrow dać nieco ochłonać i dopiero po tym zagonić w to bagno. No i czego te żydowskie głowy nie potrafią wymyśleć ? W dzisiejszych czasach powiedziano by, że nasza kompania to same Kissingery – jeden w jeden.

W Ałma-Acie naszą kompanię czasami używano do pełnienia służby garnizonowej. Na drugim końcu miasta była nieczynna cerkiew prawosławna i w niej urządzono karny batalion. Tam formowano grupy “karniaków” (sztrafników) i stamtąd pod konwojem wysyłano ich do frontowych batalionów karnych dla okupienia krwią winy wobec ojczyzny. Kiedyś, w ramach tej służby pełniłem wartę przy “haupwachcie” (rodzaj aresztu) batalionowej. Kilka dni przedtem włamano się do tzw. “chlebozki” (pomieszczenie do składania chleba). Facet wybił ścianę, wlażł do środka i zaczął wnosić bochenki chleba. Przyłapano go i wymierzono najwyższą karę - 10 dni ścisłego aresztu. “Ścisłość” polegała na tym, że aresztant był uprawniony do gorącej stawy tylko co drugi, parzysty dzień. W dni nieparzyste otrzymywał tylko chleb i wodę. Jakie znaczenie dla “karniaków” w ich położeniu z wiszącym nad głową mieczem Demoklesa miała taka dziecinna kara? Chyba śmieszne, ale jakoś, może i symbolicznie, należało tego włamywacza ukarać. Posadzić do więzienia ? To tylko korzyść dla niego. Zastrzelić ? Szkoda dla państwa. Ten aresztant widocznie urządził sobie legowisko przy zakratowanym okienku. Przez prawie całą moją trzygodzinną wartę “zabawiał” mnie rozmową. Wtem podszedł inny, “wolny” karniak z dwoma kociołkami - zupą i drugim daniem, bo właśnie była pora obiadowa. Zbaraniałem, bo dziś był nieparzysty dzień i gorąca strawa się nie należała. Ten aresztowany zaczął mnie “obrabiać” na wszystkie strony, że dziś on, a jutro mogę być ja, że co mi to szkodzi i tak nikt tego nie widzi itd. Trzeba przyznać, że był bardzo elokwentny i widocznie udało mu się mnie przekonać. Pomyślałem sobie – nie wiadomo co go jutro czeka (właściwie to wiadomo było). Przepuściłem te dwa kociołki. I kiedy on wydawał je już puste, nagle jak spod ziemi wyrósł przede mną dowódca tego karnego batalionu. Pierwsze jego słowa były: przecież was (forma per “wy”) uprzedzili, że dziś ten aresztant jest na “głodnej” diecie i gorąca strawa mu nie przysługuje. Zacząłem mamrotać jakies usprawiedliwienie którego on i słuchać nie chciał. Kazał mnie na głos zavezwać mego “rozwodzącego” z mojej jednostki. Ten przyleciał jeszcze z dwoma, też z mojej jednostki, dopytując się co się stało. Dowódca batalionu wyjaśnił im, a mnie na miejscu wymierzył karę 10 dni ścisłego aresztu z tym, że karę miałem odbywać nie tu, tylko w mojej macierzystej jednostce. Mojemu “rozwodzącemu” rozkazał, ażeby ten poinformował naszego dowódcę i ten potwierdził nałożoną na mnie karę i zatroszczył się o jej wykonanie. Na miejscu zdjęto mi pas i “obmotki” (powijacze zastępujące buty z cholewami). Obaj konwojenci włożyli sztyki (bagnety) na broń i tak przez całe miasto pomaszzerowaliśmy w kierunku naszych koszar. Po drodze ludzie się zatrzymywali i z politowaniem kiwali głowami, że taki młody a już przestępca i na pewno na rozstrzelanie go prowadzą. Nasz dowódca przyjął raport “rozprowadzającego”, popatrzył na mnie bez jakiegoś specjalnego wyrazu i kazał zaprowadzić do naszego zaimprovizowanego aresztu. O parzystych i nieparzystych dniach jakoś nie wspomniał. Przespałem tą pierwszą noc w areszcie i już na drugi dzień posłano mnie na kuchnię czyścić kartofle. Zawsze będąc bliżej kuchni to jakoś przyjemniej aniżeli na ćwiczeniach. Jednym słowem miałem 10 dobrych i sytych dni, prawie jak na jakimś urlopie. Niektórzy z moich kompanijnych kolegów próbowali mi nawet zazdrościć.

Pewnego dnia, mogło to być w połowie lata 43-go roku, oznajmiono nam, że mamy być gotowi bo dziś wyruszamy w daleką drogę. Opuszczaliśmy nasze koszary bez nostalgicznych ciągot, jakkolwiek czuło się jakieś napięcie, szczególnie wśród starszych. Pomaszzerowaliśmy do punktu zbornego przy stacji kolejowej. Tam już było wiele innych jednostek z Ałma-Aty i pobliskich okolic. Zaczęliśmy się ładować do podstawionych wagonów towarowych. Celu naszej podróży nam nie ujawniono. Nie sądzę zresztą, ażeby nawet nasze dowództwo miało jakieś pojęcie o tym. Była to przecież ściśle przestrzegana tajemnica wojskowa w odniesieniu do ruchu wojsk. Wydano nam nowe sorty mundurowe. Pod wieczór ruszyliśmy. Nasz komendant eszatonu, w randze majora, na każdej węzłowej stacji otrzymywał marszrutę tylko do następnej stacji.

Po drodze dostawaliśmy suchy prowiant – konserwy, suchary, cukier, czasem nawet świeży chleb, w zależności od inwencji naszego komendanta i jego umiejętności egzekwowania tego, co nam się należało, w komendaturach wojskowych na trasie naszej marszruty. W naszym eszatonie był wydzielony specjalny wagon dla dowództwa i służby sanitarnej. O ciepłą strawę każdy indywidualnie musiał się zatroszczyć. Gotowaliśmy sobie zupy z zawartości puszek konserwowych dodając do tego suchary dla otrzymania gęściejszej mazi dla lepszego zapełnienia naszych głodnych żołądków. Czego mieliśmy pod dostatkiem to “kipsiatku” - gorącej wody, ze specjalnych kranów na każdej stacji kolejowej (o tym epokowym rosyjsko-sowieckim “wynałazku” już wspominałem na poprzednich stronach). Na każdej stacji, gdzie tylko eszaton przystawał, natychmiast zabłyskiwały zaimprovizowane ogniska i zaczynało się kucharzenie). Co trzeba przyznać, że z wagonu dowódczego otrzymywaliśmy informację ile czasu “stojanka” będzie trwała. Chodziło o to ażeby ludzie wiedzieli ile czasu mają do dyspozycji i na gotowanie i na ewentualne pokupki na przygodnych bazarach. Wyjście i powrót musiały być meldowane “starszemu” każdego wagonu. Na ogół było to przestrzegane, albowiem uprzedzono nas, że nie przyjdzie na czas i “zagubienie” eszatonu uważane będzie za dezercję, z wszystkimi wynikającymi z tego konsekwencjami. A co za to groziło, wszyscy dobrze o tym wiedzieli. W niemniejszym stopniu stanowiło to też troskę dowództwa, bo ono dobrze wiedziało, że na docelowej stacji będzie się musiało rozliczać z ilości ludzi otrzymanych w Ałma-Acie i ilości przywiezionych na miejsce. Liczyli się żywi i martwi (kilka takich przypadków było). Dokąd się ludzie rozpiechali, już wspominałem.

Na przystajniach bazarczykach zawsze szukano czegoś zjadalnego, dla uzupełnienia wojskowych racji żywnościowych. Dla tych co mieli pieniądze, nie było problemu. Ale co robili tacy którzy pieniędzy nie mieli ? W Ałma-Acie dostaliśmy przecież piękne amerykańskie buty do sznurowania, skarpetki, chusteczki (!?) i inne “szmoncesy”. Poza tym, niektórym bardziej przewidującym udało się wtedy nie zwrócić wszystko stare, a to też był chodliwy towar do wymiany, szczególnie w czasie wojny. Byli nawet tacy co “wymieniali swoje nowe amerykańskie buciora na stare butopodobne szkraby z odpowiednim dodatkiem ekwiwalentu żywnościowego; swoją nową bieliznę, również portki na stare, brudne szmaty i temu podobne. Za to też groziły kary, ale to było ryzyko które trzeba było ponosić jeżeli ktoś już tak bardzo dbał o zapełnienie swego puza. Za to przecież nie stawiano pod ścianę i nie rozstrzeliwano. W końcu jechaliśmy nie na bal tylko na front. Jeżeli kogoś przyłapano na takim “handlu” odzieżowym, to sadzano go na kilka dni do specjalnego wydzielonego wagonu-haubwachty o chlebie i wodzie, strasząc przy tym, że ta właściwa, duża kara będzie im “wypłacona” po przybyciu na miejsce. Strachy na lachy. Inni, bardziej “sprytni”, “Knyszopodobni” (o lwowskim Knyszu już przedtem wspominałem) osobnicy wypatrywali stojące zamknięte wagony, włamywali się - albo od góry, częściej od dołu i wynosili stamtąd, jeżeli było co. Tego rodzaju “operacje” można było przeprowadzać tylko na stojankach i nocą. Tutaj ryzyko już było rzeczywiście bardzo duże, bo groziło zastrzeleniem przez uzbrojoną milicję kolejową. A jednak byli tacy “zawodowcy” którzy na to szli. Jeżeli “operacja” była udana, to z rana, przy dziennym świetle, nasz eszaton już był daleko od miejsca przestępstwa. Ja osobiście, nie uczestniczyłem ani w wyżej opisanym “handlu” odzieżowym a tym bardziej w “operacjach” wagonowych. Do takich “szkół” ja nigdy nie chodziłem. Mnie musiały wystarczyć otrzymywane wojskowe racje żywnościowe. W sumie, wcale nie były one aż tak złe i z głodu się nie umierało. Według dzisiejszych kryteriów – kalorycznie były wystarczające.

Było też kilka wypadków “samouszkodzeń” fizycznych celem uniknięcia frontu. Jeden taki zapamiętałem. Żołnierz, zdaje się Kazach, zalał pod najniższą narę, a można tam było tylko wpełznąć, jadł sól i zapijał wodą. Wszystko to sobie przedtem przygotował. Po iluś tam dniach jęki i dochodzący stamtąd smród ujawniły go. Z trudem udało się go stamtąd wyciągnąć, do tego stopnia napęczniał, spuchł. Widziałem go i tę jego twarz, z której wyzierały maleńkie, wąskie szparki oczu. Może dlatego określiłem go jako Kazacha ? W sumie przecież to on zrobił ażeby żyć a nie umrzeć. Zabrali go do wagonu sanitarnego. Co z nim w końcu zrobili - pojęcia

nie mam. Właśnie wtedy przypomniał mi się “mój” Knysz. On na pewno znalazłby jakiś inny, mądrzejszy sposób.

Na podstawie nazw mijanych miast zorientowaliśmy się o kierunku naszej marszruty. Nasz eszton zmierzał w kierunku północno-zachodnim. Dawno pozostawiliśmy za sobą Centralną Azję. Byliśmy na terytorium Rosyjskiej Federacji. Zaczęliśmy mijać miasta, miasteczka i wsie niedawno wyzwolone przez sowieckie wojska. Zniszczenia i nędza były nie do opisanania. Minęliśmy Orszę i Smoleńsk. Wjechaliśmy na ziemie Białoruskiej Republiki. Kilka dni staliśmy w niedawno wyzwolonym Mińsku, stolicy Republiki. Na ulicach mnóstwo wojska i partyzantów tylko co wyszedłszy z lasów. W mieście było dużo niemieckich magazynów których Niemcy nie zdążyli zniszczyć. Władza jeszcze się nie ustabilizowała. Każdy brał co tylko mógł. Przy tej sposobności i myśmy się trochę “obłowili”. Nasz eszton ruszył dalej, zostawiając za sobą Białoruś. Wjechaliśmy na terytorium Litewskiej Republiki. Minęliśmy Wilno i Kowno (Vilnius i Kaunas). Tam też postoje były trochę dłuższe. W Wilnie widziałem Bramę Ostrobramską; można było rozmówić się po polsku. Pokazano mi z daleka cmentarz na wzgórzu na którym kiedyś złożona była urna z sercem Józefa Piłsudskiego.

W Kownie poszliśmy popatrzeć na miasto. Cywilnej władzy jako takiej jeszcze nie było. Specjalnych zniszczeń nie widzieliśmy. Na ulicach pełno było szyldów i ogłoszeń po niemiecku. Zachodziliśmy do opuszczonych budynków w których tylko niedawno gnieździły się różnego rodzaju instytucje niemieckie. Nie braliśmy niczego i to wcale nie z jakiejś przesadnej uczciwości, a po prostu dlatego, że nie znaleźliśmy tam niczego takiego co jakło żołnierzowi mogłoby się przydać. Szmaty, firanki, żyrandole, fortepiany, meble ? Psu na budę to nam było potrzebne. Czego byśmy się nie byli wyrzekli, to żarcia. A właśnie tego nie było.

Wyjechaliśmy poza Kowno i zatrzymaliśmy się na małej stacyjce nazwę której nie zapamiętałem. To był koniec naszej marszruty. Ile nam to w sumie wzięło czasu – nie pamiętam. Przypuszczam, że parę tygodni.

Zaczeło się przekazywanie nas nowemu dowództwu. Nikomu nie przypomniano przewinień z czasów podróży. Widocznie wszystkie grzechy zostały przebaczone – jak na świętym sakramencie. Zaprowadzono nas do zaimprovizowanej łaźni, wydano nowe umundurowanie, nakarmiono ciepłą strawą z polowej kuchni wojskowej i przydzielono jako uzupełnienie do frontowej jednostki o przydługawej nazwie, która do dziś pozostała mi w pamięci: 84-a gwardiejskaja krasnoznamionnaja, dniewrowsko-niemenskaja, ordena Suworowa wtoroj stepeni dywizja. Dano nam dwa dni na odpoczynek a potem przetransportowano ciężarówkami do miejsca stacjonowania dywizji na terenie Prus Wschodnich. Liczyło się to jako III-ci Białoruski Front dowodzony przez generała pułkownika (?) Czerniachowskiego. Podobno był bez jednej nogi. Później zginął w czasie bombardowania jego sztabu. W tym czasie na tym froncie panował tzw. “Stillstand” czyli zacisze. Nasza dywizja utrzymywała pewien określony odcinek frontu. Nasze okopy były naprzeciwko okopów niemieckich. Specjalnych działań z obu stron nie notowano, jakkolwiek od czasu do czasu miała miejsce obustronna wymiana ognia artyleryjskiego. Nakazano nam w ciągu dnia nie opuszczać okopów bo Niemcy mieli wystawone czujki snajperskie i polowali na każdego pojedynczego żołnierza. Powiedziano nam, że naprzeciw nas Niemcy ustawili jednostkę Własowców i że się do niewoli nie bierze. Ci Własowcy musieli widocznie również o tym wiedzieć, bo im się wcale nie spieszyło do ruskich. Z żołnierskich opowiadań wiadomo było, że walczyli bardzo zaciekle. W ciągu dnia Niemcy wystawiali wzmocnione głośniki transmitując propagandę w języku rosyjskim nawołując do przechodzenia do nich, wymieniając wszystkie błaga jakie tam na niego czekają. Nadawali też ładną, nam znajomą muzykę i piosenki rosyjskie. Właśnie wtedy zaczynała się wymiana artyleryjska. Z naszej strony chodziło o to ażeby tę propagandę zagłuszyć. Jedzenie przywożono przed świtem, kiedy jeszcze było ciemno. Za dnia było to niemożliwe, bo na każdy ruch po naszej stronie Niemcy zaczynali ostrzeliwanie. Karmili nas niezłe, według frontowych racji żywnościowych wydatnie różniących się od takowych w jednostkach rezerwowych na zapleczu. Jasne, że wina i

czekolady, jak u Niemców, nie dawano. W czasie chłódów czasem wydawano porcje czystego spirytusu.

Wiedzieliśmy, że Sowieci szykują się do ofensywy. Wśród żołnierzy krążyły słuchy, że w pobliżu naszego odcinka ulokowane specjalne jednostki 4-ej armii nazywaną “uderzeniową”; to właśnie oni mieli za zadanie przerwać niemiecką linię obrony. Były też słuchy, że obok nas stacjonuje karny batalion, bo rzekomo na tym odcinku sowieckie dowództwo spodziewało się przerwania naszych linii. W warunkach bojowych karny batalion zawsze szedł w parze z tzw. “zagrادیelnym otriadom” to znaczy jednostką wojsk N.K.W.D. wykluczającą jakkolwiek odwrót. O “karniakach” mówiono: ”grudź w krestach ili gołowa w kustach” co znaczy: pierś w krzyżach (ordery, odznaczenia) albo głowa w krzakach.

W tym mniej więcej czasie zacząłem odczuwać jakieś zmiany zdrowotne. Pierwszy symptom to był brak apetytu. Żołnierz bez apetytu ? Czegoś takiego w tej wojnie się nie zdarzało. Nic mi przez gardło nie przechodziło. Czułem jak mi siły uciekają. Bardzo schudłem i pożółkłem. Wszystko było podobne do tego, jak za pierwszym razem. Podejrzanie zaczęła wyglądać poprzednio zasklepiona rana na szyi i powiększone “gęsie jajo” pod pachą. Musiało to nie ująć uwadze mojego bezpośredniego dowódcy. Spytał co mi jest, na co konkretnej odpowiedzi nie miałem, bo oprócz ogólnej słabości i braku apetytu niczego specjalnego nie odczuwałem. Polecił mi jutro nad ranem razem z kuchnią polową wyjść z okopu i zgłosić się u niego w jego “ziemiance”. Tam on już czekał na mnie a naszym sznitariuszem; ten mnie oglądnięt i według niego niczego specjalnego u mnie nie stwierdził. Pomimo tego, mój dowódca nakazał sanitariuszowi ażeby mnie zaprowadził do sanitariusza batalionu (sanbat) stacjonującego w lesie, o kilka kilometrów od naszej linii i ażeby tam mnie zbadał prawdziwy lekarz. Z trudem, ale jakoś się dowlokłem. Zbadała mnie kobieta-lekarka w mundurze i stwierdziła, że oprócz zaczerwienienia szyi i guza pod pachą niczego nie znajduje i poleciła mojemu sanitariuszowi ażeby zabrał mnie z powrotem na linię. Byłem na tyle zubożnięty, widocznie ze słabości, że nie tylko nie oponowałem, ale żadnych dodatkowych wyjaśnień nie dawałem; zresztą, ta lekarka o żadne wyjaśnienia z mojej strony nie prosiła. Sanitariusz miał jeszcze coś do załatwienia i kazał mi poczekać na niego w tym samym miejscu. Usiadłem na ziemi, oparłem się o drzewo i czekałem. Przechodził tamtędy jakiś kapitan, z bródką, widocznie lekarz. Przystanął i spytał co tu robię. Opowiedziałem mu pokrótce z czym mnie tu przyprowadzono i że czekam na mego sanitariusza ażeby z nim wrócić na linię. Nie wiem czym się ten lekarz kierował, czy moim wyglądem, czy też z ciekawości zawodowej albo zwykłą człowieczą litością - dość, że wziął mnie do swojego namiotu, zaczął bardzo szczegółowo mnie badać, a zwłaszcza to zaczerwienienie na szyi i guz pod pachą i zadawać różne pytania, dużo pytań. Wyszedł i wkrótce wrócił z innym lekarzem. Ten mnie również oglądał; coś ze sobą poszeptali i w końcu ten co mnie “znalazł” siedzącego powiedział do mnie: “mołodoj człowiek, wam uż fronta bolsze nie widat”. Zaprowadził mnie do dużego namiotu w którym stało kilka łóżek. Rozebrano mnie (niezwykle uczucie po tak długim czasie nie rozbierania się) i położono do polowego łóżka z podścielonym białym prześcieradłem i drugim takim do przykrycia. Przypomniał mi się szpital w Leninpolu w Kirgizji i lekarka, Ziunaida Chansanowa, o czym wspominałem na poprzednich stronach.

Ten obecny to widocznie był szpital polowy. Przeleżałem tam kilka dni i potem zawieźli mnie do innego szpitala, o wyższej randze, widocznie frontowego, ileś tam kilometrów od frontu. Szpital zajmował budynek wiejskiej szkoły (w czasie wojny widocznie szkoły były zajmowane albo na koszary albo też na szpitale). Tam zrobiono mi wszystkie badania i analizy i stwierdzono, że mam gruźlicę gruczołów limfatycznych i to w bardzo zaawansowanym stopniu i że oni, w tym szpitalu, niczym mi pomóc nie mogą. Do tej gruźlicy już za pierwszym razem zdążyłem się przyzwyczaić, ale do “zaawansowanego” stopnia jeszcze nie. Prawdę mówiąc, nie przypuszczałem, że ta choroba może mieć “nawroty”. Byłem przekonany, że już się z niej wyleczyłem. Jeszcze jeden dowód, że życie płata figle. Postanowili mnie odprawić, i to szybko do Kowna (Kaunas). Nie pamiętam ile czasu ta podróż wzięła i czym mnie wieziono.

W czasie wojny wszystkie szpitale w pasie przyfrontowym nazywano "choziajstwo" (gospodarstwo) i nazwiskiem naczelnika szpitala. Mnie zawieziono do "Chaziajstwa Epsztajna". Naczelnym, lekarzem tego szpitala był lekarz-pułkownik Epsztajn. Szpital mieścił się w budynku jednej z klinik wydziału medycznego Uniwersytetu Kaunaskiego; zapamiętałem ulicę - Mickiewiczjusa, (od Adama Mickiewicza, którego Litwini uważali za "swojego") nad samą rzeką Niemen. Ten szpital nie był szpitalem dla rannych żołnierzy; to był szpital chorób wewnętrznych dla żołnierzy choroba których była spowodowana przebywaniem na froncie. Tak to się nazywało oficjalnie i tak też było w rzeczywistości. Przeważali w tym szpitalu chorzy na gruźlicę płuc. Ja z tą moją gruźlicą stanowiłem chyba wyjątek. Nie przypominam sobie o jeszcze kimś z tą samą diagnozą. Przypomina to trochę dowcip o dwóch paralitykach. Jeden ze zwyczajnym paraliżem, drugi z paraliżem na tle syfilitycznym; rozmowa między nimi: ten pierwszy – ja tu jestem ze zwyczajnym paraliżem, a pan kolega ? Ten drugi, z nutką dumy w głosie – ja też mam paraliż, ale ten mój jest postępowy. Personel był bardzo oddany; powiedziałbym, że całe swoje serce oddawał chorym. Bo chyba tylko naród rosyjski, ten prosty naród zdolny jest do tylu samopoświęceń. Niestety jednak, tragedią historyczną tego narodu zawsze byli jego rządciele, jego władcy. Z tego Kaunaskiego szpitala zapamiętałem lekarkę - oficera, Annę Władimirowną, dobrego i szlachetnego człowieka.

Mój stan pogarszał się z dnia na dzień. Przestałem schodzić z łóżka. Nie jadłem. Byłem chudy jak szczepka. Robili wszystko co było w ich mocy, raz nawet robili mi przelewanie krwi. Wszystko bez jakiegokolwiek skutku. Mój stan widocznie musiał już być na tyle beznadziejny, że przeniesino mnie do pomieszczenia w suterenie nazywanego "przedsionkiem" do lepszego ze światów. Było tam kilka łóżek z delikwentami którzy już predtem zdążyli "wypluć" swoje płuca. Dwa razy dziennie przychodziła pielęgniarka z próbami dokarmiania. Nie było dnia żeby stamtąd kogoś nie wynieśli. Ja leżałem z otwartymi oczami. Na pytania nie reagowałem. Pielęgniarka przykładła ucho do mojej piersi by stwierdzić czy jeszcze dyszę. Ile dni przeleżałem – nie wiem. Widocznie dłużej aniżeli przewidywała "norma" dla takich jak ja. Nie wiem komu znudziła się ta "zabawa w umarlaka". Lekarze kazali mnie przenieść z powrotem na górne piętro i sztucznie dokarmiać.

Tak samo jak za poprzednim razem wiedziałem, że jeżeli zacznę jeść to może będę miał szanse żyć. Nie pamiętam jak długo ten stan trwał. Po pewnym czasie zaczęło mi się wydawać, że coś jak gdyby się ruszyło. Zaczęto mnie karmić łyżką. Bardzo wolno, ale zaczynałem reagować na to co się wokoło mnie dzieje. Kierownictwo szpitala zdecydowało umieścić mnie na liście ewakuacyjnej wgłąb Rosji. Jakiegoś tam dnia, była już zima, zawieziono mnie na stację kolejową i umieszczono w pociągu sanitarnym zmierzającym w kierunku przeciwnym skądśmy w swoim czasie przybyli. Może być, że zmiana klimatu również miała jakiś wpływ na mój stan. Pomogło i po trochę zacząłem jeść. Nie pamiętam ile czasu ta podróż trwała. W każdym razie, musiało to być pod koniec 1944-go roku. Zima była już w pełni. Przywieziono nas na stację Dzierżyńsk, niedaleko dużego miasta przemysłowego, Gorkij, dziś Niżnyj Nowgorod. Sanitarkami wojskowymi przewieziono nas do sanatorium przeciwgruźliczego położonego w głębi sosnowego lasu. Później próbowałem tłumaczyć, że wprawdzie mam gruźlicę, ale nie płuc i tylko brakuje ażeby do mojej gruźlicy limfów przyczepiła się jeszcze gruźlica płuc. Nic się nie martw, mówili lekarze w tym nowym miejscu, wszystko będzie w porządku. Widocznie również i tu, ja musiałem być jedyny w tym sanatorium z gruźlicą odmiennego typu. Umieszczono mnie na sali w której każdy chory kaszłał i pluł do pudełeczka. Ja byłem jedyny który nie kaszłałem i nie plułem. Kiedy zacząłem już chodzić, rozglądałem się, dopytywałem i kolegów po chorobie nie znalazłem. A bardzo się chciało z kimś podobnym "wymienić doświadczenia". Jedzenie było wysmienite. Zacząłem normalnie jeść i tym samym siły zaczęły mi wracać. Po półtora miesięcy zacząłem robić leśne spacerki. Na obiady chodziłem do pobliskiego pawilonu. Tam była sala kinowa i dobrze wyposażona biblioteka z której z dużym zapałem korzystałem. Co drugi dzień wyświetlano film. Przyjeżdżali lektorzy z ciekawymi prelekcjami. Jednym słowem – tylko żyć i nie umierać.

Drohobycz był już wtedy wyzwolony. Napisałem list do Rady Miejskiej z zapytaniem czy ktoś z moich bliskich pozostał przy życiu. Przyszła odpowiedź, że sprawdzili i że nikt. W międzyczasie zdołałem również nawiązać kontakt z moją siostrą, Henią, która już nie mieszkała w Pogran-Orłowsku i przeniosła się do Taszkientu.

W lutym 45-go roku stanąłem przed wojskową komisją lekarską i zostałem uznany jako inwalida wojny ojczyźnianej II-iej grupy. Zostałem wypisany ze szpitala. Na komisji spytano mnie dokąd zamierzam pojechać. Powiedziałem, że rozważam powrót do Drohobycza. Wspomniałem również o smutnym liście otrzymanym z drohobyckiej rady miejskiej odnośnie losów mojej rodziny. Komisja absolutnie odradzała mi Drohobycz. Dla mojego zdrowia, mówili, właśnie Taszkient ze swoim ciepłym klimatem bardziej mi pasuje. W końcu doszedłem do wniosku, że w tym obecnym Drohobyczu nie ma czego szukać - ani teraz ani też nigdy później. I rzeczywiście, wiele razy później już z Polski jeździłem służbowo z Polski do Moskwy i do Leningradu, i nigdy mnie nie korciło zahaczyć o Drohobycz. Dla mnie, w moich wspomnieniach, w mojej pamięci zachował się ten Drohobycz opisany w początkowej części niniejszych wspomnień. Wiem na pewno i jestem przekonany, że gdybym tam pojechał, nawet na krótko i nie znalazł mojego domu, tych biednych domków na Łanie, na Bródnej – nie byłbym w stanie ani jednego słowa napisać.

Przygotowanie dokumentów wzięło trochę czasu. Wystawiono mi bilet kolejowy do Taszkientu, wydano nowe umundurowanie, trochę suchego prowiantu na drogę i odwieziono na stację kolejową. Z trudem wpakowałem się do przepelnionego pociągu osobowego Gorkij-Moskwa. W Moskwie miałem się przesiąść na pociąg osobowy Moskwa-Taszkient

Wojna miała się ku końcowi. Trzeci Reich, ten kiedyś mocarny Reich był w kompletnym rozpadzie. Miał on przetrwać 1000 lat, a wzięło niecałych 12 lat ażeby ta przeklęta, nieludzka hydra przestała istnieć. Ludzie zaczęli podróżować, każdy na swój sposób. Jedni do swoich poprzednich domów, jeżeli takowe oparły się zawierusze wojennej, inni, domów których nie stało – szukali nowych miejsc gdzie mogliby od nowa budować swoje ogniska rodzinne. Najbardziej, tak jak mnie się wydaje, pod względem moralnym, traumatycznym bici byli Żydzi. Ci nie mieli dokąd wracać. Ich nigdzie nikt nie oczekiwał. Ich domostwa były albo kompletnie zniszczone albo też zajęte, zamieszkałe przez nowych, obcych ludzi. Wielu więc pozostawało na miejscu w miejscowościach dokąd zaniósł ich fala ewakuacyjna, albo też szukali nowych miejsc z nadzieją, że może uda im się w jakiejś mierze zbudować nowe życie, założyć nową rodzinę, rodzić nowe dzieci. Nie obeszło się również i bez tragedii. Bywało, że ktoś zdołał założyć nową rodzinę kiedy wojna jeszcze trwała i był święcie przekonany, że poprzednia rodzina zginęła – a potem, po wojnie okazywało się, że ta druga połowa jakimś cudem ocalała. Z jednej i drugiej strony powstawały nowe, de facto, rodziny z podwójnymi tragediami. Niektórych z tych ludzi znałem osobiście.

W Moskwie musiałem “kompensować” (tak to się nazywało) swój bilet kolejowy. Dostałem kartkę z numerem wagonu i z nią miałem się zgłosić do konduktora tego wagonu i on miał mnie urządzić. I rzeczywiście – konduktor znalazł mi miejsce na górnej, spalnej półce. Stosunkowo łatwo mi to poszło może dlatego, że byłem żołnierzem wracającym ze szpitala o czym świadczyło moje umundurowanie i krótka “spowiedź” przed nim. Rozłożyłem swoje manele i poszedłem się rozglądnać po wagonie. Czasu na zwiedzanie Moskwy mi nie pozostało, a miałem na to wielką ochotę. Skończyło się tylko na tym, że miałem przejechać na inny dworzec i w związku z tym zobaczyć słynne, moskiewskie metro.

W nocy pociąg ruszył. Cała podróż trwała 6-7 dni. Pierwszy raz podczas tej wojny korzystałem z prawdziwego pasażerskiego pociągu. Na stacjach były bazarczyki gdzie można było coś niecoś kupić. I znowu ten przysłowiowy “kipiatok”. Widocznie musiałem zyskać sobie sympatię konduktora, bo czasem zapraszał mnie do swego przedziału i częstował świeżo zaparzoną herbatą; cukier miałem swój. Opuszczaliśmy zimną, europejską strefę i wkraczaliśmy do ciepłej, azjatyckiej strefy klimatycznej. Tam na przystajonych bazarach można było kupić różnego rodzaju suszone owoce w pełni zastępujące cukier.

TASZKIEN - NOWOSYBIRSK

I wreszcie Taszkient. Kiedyś w dzieciństwie czytałem książkę Pantelejmona Romanowa (?) "Taszkient Miasto Chleba". Niewiele z tej książki pamiętam oprócz tytułu i autora (nie jestem pewien).

Według posiadanego adresu dobrałem się do domu mojej siostry, Heni. Mieszkała w dzielnicy "Soc Gordok" ulica Stachanowska 10, niedaleko tekstylnego kombinatu zatrudniającego tysiące ludzi. Jak mnie przyjęła nie muszę chyba opisywać. Jej radość i serdeczność była bezgraniczna. Pozostała taką dobrą i wyrozumiałą siostrą jak dawniej. Z pełnym oddaniem zastępowała mi naszą mamę. Henię w swoim czasie dokwaterowano do mikroskopijnego pokoiku w dużym bloku mieszkalnym. Dzieliła go ze starszą (?), a może mnie się tylko tak wydawało, kobietą bez męża, Niurą Jegorową. Mąż Niury zaginął w czasie zawieruchy wojennej. Formalnego zawiadomienia, że zginął na froncie nigdy nie otrzymała. Mnie dokwaterowano na trzeciego. Wstawiono trzecie łóżko i tak mieszkaliśmy. Jak się mówi – w ciasnocie (w jeszcze jakiej ciasnocie !!) i nie w biedzie. Stosunki były bardzo poprawne. Żadnych kłótni ani zgrzytów nie było. Henia pracowała w tzw. "tekstylce" (tak w skrócie nazywano tekstylny kombinat). Miała dobrą pracę i jeszcze lepszą przełożoną - Anne (Ania) Wasiljewną Jermołajewą, leningradkę (Leningrad to nie Moskwa), nadzwyczaj kulturalną i sympatyczną osobę. Mąż pani Ani był kapitanem wielkiej żeglugi i w czasie wojny wysokiej rangi oficerem marynarki wojennej. Pani Ania była szefem sztabu obrony chemicznej (P.W.Ch.O.) na "tekstylce" a Henia była jej pomocnicą i zastępczynią. Przy jej pomocy urządziłem się do pracy w fabryce sprzętu spadochronowego niedaleko naszego domu. Zdrowotnie czułem się nieźle. Od pracy nigdy nie stroniłem i to od wczesnych lat. Fabryka stanowiła jednostkę produkcyjną ewakuowaną z Moskwy. Większość personelu kierowniczego i technicznego to byli moskwicze. Zainstalowano ją w 3-y piętrowym gmachu byłego Uniwermagu (rodzaj supermarketu). Również i w tym wypadku pomogły mi te dwie klasy drohobyckiej szkoły technicznej; pełniłem funkcję technika planowych remontów zapobiegawczych. Fabryka pracowała na potrzeby wojska. Z tego tytułu personel kierowniczy włączając mechaników był zwolniony od czynnej służby wojskowej (tzw. "broń"). Dyrektorem był niejaki Josif Mojsiejewicz Chrapun (podobno były wysoki funkcjonariusz kijowskiego N.K.W.D.). Jego zastępcą i jednocześnie naczelnym inżynierem był moskwiczanin, Isaj Borysowicz Gurewicz. Moim bezpośrednim przełożonym był główny mechanik fabryki, Nikołaj Petrowicz Prokofiew (więcej aniżeli często zaglądał do kielicha). W fabryce była stołówka działająca na zasadzie sowieckiej niesprawiedliwości społecznej. Polegało to na tym, że wydawano zróżnicowane obiady według następującego rozdzielnika: robotnicy na oddziałach produkcyjnych; urzędnicy; pracownicy inżynieryjno techniczni (tzw. I.T.R.), naczelnicy wydziałów; tak zwane obiady specjalne. Wszystkim wycinano identyczne kupony obiadowe, natomiast jakość obiadów była bardzo zróżnicowana. Najniższą i najbardziej upośledzoną kategorią byli robotnicy na oddziałach produkcyjnych; w drugiej kategorii byli urzędnicy (tzw. służaszczyje) prawie że nie różniące się od robotników; kategoria I.T.R. lepsza była od dwóch poprzednich; dla naczelników wydziałów była dużo lepsza i bardziej różnorodna; kategorią specjalną objętych było tylko kilka osób: dyrektor fabryki, jego zastępca, sekretarz partii, naczelnik wydziału specjalnego (bezpieczniak), no i mój bezpośredni przełożony, główny mechanik fabryki. Im przynoszono talerze owinięte w białe, czyste ręczniki (ażeby żadne ciekawskie oko tam nie dotarło) i wsuwano do szuflady biurka. Roznoszącą była sama szefowa kuchni we własnej osobie, Katia Klejmanowa (żona jednego ze starszych mechaników), moskwiczanka, ciesząca się ogólną nienawiścią tych niskich kategorii.

Nie wiem jak to wyglądało w innych miejscach pracy; nie przypuszczam ażeby było inaczej. Przecież to był uświęcony, sowiecki model. Ciekawe, że nigdy nie słyszało się ażeby ci najbardziej upośledzeni, prości ludzie próbowali się sprzeciwić, podnosić głos. Wszelki sprzeciw

mógł, i nie tylko mógł ale i był kwalifikowany jako kontrrewolucja, a czym to się kończyło, dobrze było wiadomo. Dobrze był ten naród wytresowany, nie ma co. Czy po wojnie, po zniesieniu systemu kartkowego, coś się zmieniło? Nie wiem, bo wtedy mnie już tam nie było.

Pod koniec wojny zaprzestano produkować spadochrony i przerzucono się na produkcję umundurowania wojskowego – spodni, rubaszek, koszul i kalesonów. Widocznie brano pod uwagę, że z chwilą zakończenia wojny zacznie się stopniowa demobilizacja starszych roczników i trzeba będzie ich przygotować do opuszczenia wojska i powrotu do domów, chociażby przyzwoicie ubranych. W związku z tym, znacznie wzrosła produkcja i w parze z tym mnożyły się kradzieże. Zapotrzebowanie cywilnego rynku było bardzo duże, natomiast dostawy prawie że zerowe. Jak dotąd, cały przemysł ciężki zarówno jak i lekki był nastawiony na zaspokojenie potrzeb wojska. Zawiązywały się różnego rodzaju “spółki złodziejskie” które w sposób zorganizowany kradły wszystko co się dało i gdzie się dało. Uczestniczyli w tym czasem i pracownicy naszej fabryki. Coraz to kogoś aresztowano, ale “interes” mimo wszystko szedł dalej.

Wypuszczona ilość gotowej produkcji odbiegała od ilości wpływającego surowca. Niektórzy więc kierownicy w naszej fabryce znaleźli sposób ich zdaniem pół legalny. Wynosić gotową produkcję było trudno, więc wypisywali sobie tzw. “odpady produkcyjne” tzn. odcinki materiałów nie nadających się do produkcji. Polegało to na tym, że z oryginalnych bel materiałowego surowca wykrawano “odpady” metrowej, półtorametrowej i większej długości. Na rynku tego rodzaju “odpady” były bardzo poszukiwane. W końcu proceder ten został odkryty i wielu jego uczestników aresztowano.

Pamiętam tak jak gdyby to było wczoraj, ten dzień 9-go maja 1945 roku kiedy w radiu oficjalnie ogłoszono zakończenie wojny i podpisanie aktu kapitulacji. Opisać się nie da co się działo w domach, na ulicach, we fabrykach - wszędzie tam gdzie się zebrała jakaś grupka. Ludzie szaleli z radości. Nareszcie nadeszła tak długo wymarzona, upragniona chwila. Trudno było sobie uzmysłowić, że ta przeklęta wojna się skończyła. W tym dniu na kartki wydawano biały chleb.

W międzyczasie odnalazła się Frydka, poprzednia żona naszego najstarszego brata, Szlomka, razem z ich córką Niną i Frydki dwiema siostrami. Mieszkali w dużej suterynie, siedem rodzin, na pryzkach zbitych z desek. Cała czwórka na jednej pryzcy. Obie siostry Frydki pracowały jako krawczynie. Ich zarobek nie wystarczał nawet na najskromniejsze wyżywienie.

Nasz brat pracował w swoim zawodzie, jako dentysta, bardzo daleko od swojego domu; miejscowość nazywała się Gołodnaja Step. Jego druga żona, Wala z rodziną pozostawały w poprzednim miejscu – w Pogran-Orłowskie. Brat tam bardzo dobrze zarabiał. Był tam jedynym dentystą w okolicy. Byliśmy z nim w kontakcie listownym. Natychmiast powiadomiliśmy go o tym. Od razu przysłał pieniądze na nasz adres ażeby je przekazać Frydce i Ninie. Można sobie wyobrazić jego rozterkę. W każdym razie, do Frydki on postanowił nie wracać. Był zdania, że z nią on już żyć nie potrafi, a unieszczęśliwić obie rodziny – nie chciał.

Niedługo potem odnalazł się mąż Heni, Pinio. Jego wojenna historia wyglądała następująco: Wyjechali z Drohobycza on i jego brat, obaj z żonami, o czym już wspomniałem. Z kołchozu na Ukrainie obu ich zmobilizowano do wojska, tego zwykłego wojska z którego ich później “wyrzucono” jako “zapadników”. Pinio trafił do Strojbatu – batalionu pracy. Jeszcze w Drohobyczu znano go jako dowcipnisa. Myślał, że ten żaner może też uprawiać i w Strojbacie. Gorzko się na tym zawiódł. Sypnął go jeden ze słuchaczy; on nawet wiedział który.

Jego śledczy też widocznie się nie znał na dowcipach, bo przygotował jego sprawę w ten sposób, że sędziowie, widocznie też bez poczucia humoru, zaaplikowali mu 8 lat więzienia z podobnego paragrafu jak u naszego brata Fredka. Odsiadkę odbywał w jednym z okolicznych łagrów niedaleko Nowosybirsk. Pracował tam w swoim wyuczonym zawodzie jako elektryk. Kiedyś naprawiał coś na dachu niewysokiego zabudowania w zewnętrznej strefie. Z krawędzi dachu, po drugiej stronie zauważył pagóreczek pokryty śniegiem. Coś go skorciło. Wolność mu zamajaczyła, Nowosybirsk był niedaleko. Zeskoczył na drugą stronę. Miał jednak pecha, bo pagórek okazał się kupą twardego gruzu budowlanego pokrytego cienką warstwą świeżego

śniegu. Zerwał sobie ścięgna w obydwu nogach. Straszny ból, nie mógł wstać, ale jednak zdołał się doczołgać te kilka kroków do bramy wartowni. O tym, że na dachu pracował, wartownicy wiedzieli, ale że spadł z dachu – tego nie wiedzieli. Na jego szczęście uwierzyli że niechcący spadł. Odwieźli go do szpitalika łagrowego. Okazało się, że to nie tylko ścięgna ale i kości sobie pogruchotał. Bardzo długo się w tym szpitaliku odleżał. Wypisali go z dwiema kulami pod pachami. Ani chodzić ani też pracować nie był w stanie. W tym czasie istniało postanowienie ażeby takich “dochodzących” (“muzułmanów”) w łagrze nie trzymać tylko “aktować” to znaczy spisywać z rejestru – niech zdycha poza łagrem. Widocznie musieli otrzymywać jakieś premie albo kary za śmiertelność. Posłali go na komisję i wydali “bumagę” “papier” ze swojego rodzaju wilczym biletem na podstawie którego nie wolno mu było przebywać w żadnym mieście tylko na małym “posiołku”. Przygodnym transportem dobrał się do Nowosybirsk. Tam spotkał drohobydzianina który go pamiętał jako piłkarza – futbolistę. Ten się nim zajął. Urządził go na tymczasowej kwaterze, posłał do znajomego lekarza, kazał mu zniszczyć łagrowe papiery i wyrobił nowe, na inne nazwisko. Chodził z nim po lekarzach i ci zumieli go postawić na nogi. Zaczął się uczyć chodzić nie o kulach. Później urządził go w pracy w miejscowości Krywoszczokowo, blisko Nowosybirsk, w charakterze elektryka na jednej z podstacji transformatorowych. I tylko pomyśleć – wszystko mu ten drohobydzianin robił ze szczerego serca, jak własnemu bratu. Nie do wiary. W Krywoszczokowo spotkał kilku swoich kolegów z Drohobydza. Oni pomogli mu w ulokowaniu we wspólnym pokoju z jeszcze dwoma współlokatorami..

Pracując na zmiany, miał też wolne dni. Ten drohobydzianin z Nowosybirsk był kierownikiem dużego zakładu krawieckiego w którym szyci różnego rodzaju konfekcję według wymiarów standartowych dla różnych modeli. Wystarczyło na którymś zaoszczędzić dwa albo trzy centymetry i już był “zysk”. Otrzymywana w ten sposób pokaźna ilość materiałów trafiała na wolny rynek. W te w łasnie wolne dni Pinio wynosił te “zaoszczędzone” metry na rynek. Wszystkim zainteresowanym w tym interesie dobrze się z tego żyło.

Krywoszczokowo było gigantycznym centrem przemysłu zbrojeniowego zatrudniającego dziesiątki tysięcy ludzi. Generalnym Dyrektorem tego gigantu był generał lejtnant Borys Lwowicz Wannikow, więziony w latach 36 – 37 i potem przywrócony do łask. Kto się interesuje latami stalinowskich czystek, znajdzie tam również jego nazwisko.

Po osiemnastu latach, w czasie jednego z moich służbowych pobytów w Moskwie natknąłem się na jego nazwisko w tzw. Kremlowskiej ścianie, obok mauzoleum Lenina, w którą zamurowywano skremowane prochy wybitnych ludzi sowieckiego reżymu.

Pewnego dnia zjawił się w Taszkencie Pinio, mąż mojej siostry Heni, historię którego opisałem wyżej. Pobyl tylko kilka dni bo dostał krótki urlop i musiał wrócić do pracy. Umówiliśmy się, że on nam wyśle tzw. “wyzyw” i pojedziemy do Nowosybirsk.

Pewnego dnia w Taszkencie jadąc tramwajem, moja siostra Henia zwróciła uwagę na dwie nadzwyczaj elegancko ubrane młode kobiety. Okazało się, że są to drohobydzianki przywiezione do Taszkentu przez oficera łącznikowego sowieckiej misji wojskowej, rezydującego w Hamburgu. Obie kobiety miały za sobą niezwykle ciężkie przeżycia okupacyjne. Przeszły przez niemieckie obozy koncentracyjne i po zakończeniu wojny znalazły się w Hamburgu. W jednej z nich, M.R., zakochał się ten oficer, nota bene Żyd urodzony w Taszkencie. Dla niej zrezygnował z obiecującej (wtedy) kariery wojskowej, zwolnił się z wojska, wrócił z nią do Taszkentu gdzie mieszkali jego rodzice. Z nimi przyjechała jej przyjaciółka z lat okupacyjnych. M.R. urodziła syna. Później rozeszła się z mężem i z dzieckiem pojechała do Drohobydza, a potem do Polski i w końcu do Izraela. Już w Polsce, myśmy z Henią w Wałbrzychu spotkali siostrę M.R. Ona również jakimś cudem ocalała. Nasza informacja o M.R. pomogła obu siostram się połączyć. M.R. pamiętam sprzed wojny. Znałem ją tylko z widzenia. Była wtedy śliczną gimnazistką. Jej rodzina należała w Drohobydzu do bardzo zamożnych. Sostra M.R. w 40-ym roku, już za Sowietów wyszła – jeżeli się nie mylę – za mąż za sowieckiego oficera – tankistę, Żyda, jednostka którego stacjonowała w Drohobydzu.

Podczas mego pobytu w Taszkencie wybrałem się kiedyś do miasta Jangi Jul odwiedzić rodzinę mojej przyszej żony. Cała ta rodzina – Chunciu, Nuna, Gina i niedawno urodzona dziewczeczka, Irusia, mieszkała tam już od dłuższego czasu. Już przed tym wspomniałem, że byli oni spowinowaceni z Małą, żoną mojego brata, Fredka (prawdziwe kuzynki). Nuna z Chunciem i Gina pracowały w konserwnej fabryce. Był tam też ich brat, Józek Weiler z żoną, Helą. Józek pracował w tamtejszej cukrowni. Oprócz nich było jeszcze kilku drohobyczan.

W tymże Jangi Julu był sztab Korpusu Polskich Sił zbrojnych w Z.S.R.R. z generałem Andersem. Tam właśnie była koncentracja wojsk i rodzin wojskowych przed opuszczeniem Rosji i wyjazdem do Persji.

A propos Taszkentu, jeszcze pewna ciekawostka. Otóż prawie że po 50-iu latach byłem w Taszkencie w drodze do miejscowości Muruntau gdzie wydobywa się złoto metodą odkrywkową. Wysłany byłem przez firmę południowo-afrykańską w której ostatnio pracowałem w Izraelu. W drodze powrotnej, czekając kilka dni na samolot z Taszkentu do Tel-Awivu wybrałem się na zwiedzanie starych miejsc. Zmiany? Owszem, były ale tylko na gorsze. Domy zaniedbane, brudne. Chodniki i drogi nie utrzymywane – dawno nie widziały remontów. Sklepy prawie puste. Tramwaje i autobusy przepełnione jeszcze bardziej aniżeli 50 lat temu. Zamiast pieniędzy, kursowały kupony. Prawda, że wybudowano metro i ogromny luksusowy hotel “Uzbekiistan” (w którym mieszkałem). Byłem też na rogu ulic Teatralnej i Szoto Rstaweli i znalazłem budynek w którym kiedyś była fabryka sprzętu spadochronowego gdzie pracowałem. Wznowiono tam tak jak dawniej – Uniwersytet, tyle tylko, że towary w nim były takie jak we wiejskim supermarkecie, a nie jak w stołecznym mieście jakim bądź co bądź jest Taszkient. Dom, w którym mieszkałem 50 lat temu z trudem poznałem, taki był zaniedbany. Ludzie jacyś smutni, markotni, nie ciekawie ubrani, z “awoškami” (a woś coś tam “podrzucą”) zawsze gotowi kupić byle co, ażeby do domu wrócić z czymś, byle czym. Tylko metro i hotele jeszcze wiosny nie czynią. Byłem mocno roczarowany i jeszcze bardziej zadowolony, że wracam na te swoje izraelskie śmiecie, gdzie zawsze wszystko można dostać i to bez kolejki. Tyle tylko, że nie zawsze i nie wszyscy mają pieniądze na to żeby kupić. Zupełnie odwrotnie aniżeli tam. Tam ludzie mają pieniądze, tylko kupić nie ma co. Nie mówi się o superluksusach na które tylko ci bardzo bogaci, spekulanci, rekiny i mafionerzy mogą sobie pozwolić. A co mają robić ci prości ludzie żyjący tylko z pracy rąk?

Wracając do naszych taszkienckich spraw z owego okresu – wyzew otrzymaliśmy. Spakowaliśmy nasze superskromne mienie, wykupiliśmy bilety na pociąg Taszkient-Nowosybirsk, załadowaliśmy się do pociągu i znów byliśmy w drodze. Podróż trwała kilka dni. Wyjechaliśmy z ciepła, przyjechaliśmy na zimno. Na dworcu czekali na nas Pinio z jego siostrzeńcem, Wilem, moim przyjacielem lat dziecięcych. W tym czasie Nowosybirsk, miasto nad jedną z największych rzek rosyjskich, Ob, z nowoczesnym dworcem kolejowym i operą na wzór włoskiej La Scali – robiło wrażenie dużej wsi. Dziś z pewnością tam inaczej wygląda. Wiele słyszałem i czytałem o tym gigantycznym miasteczku uniwersyteckim, o instytucjach naukowych, o ośrodkach badawczych a w szczególności w dziedzinie atomistyki. Tak to widocznie w historii bywa, że wsie przekształcają się w duże miasta. Moskwa też kiedyś uważana była za dużą wieś, chociaż niektórzy złośliwcy (szczególnie ci z Peterburskim rodowodem) twierdzą, że taką pozostała do dziś.

W Nowosybirsku przesiedliśmy się do podmiejskiego pociągu do Krywoszczokowo; przejeżdżało się przez olbrzymi most spinający oba brzegi rzeki Ob. Na dworze było zimno, mróz ale bez wiatru i dlatego łatwiej się go znosi.

Ciekawy jest ten wyczulony węch sybiriaków; ludzie nas zaczepiali czy nie zamierzamy sprzedawać jabłka. Bo i rzeczywiście mieliśmy jabłka w naszym bagażu. Wyczuli ich zapach. Zatrzymaliśmy się w pokoju w którym Pinio z Wilem zamieszkiwali jeszcze z dwoma innymi lokatorami. Ci dwaj czasowo prznieśli się do swoich znajomych ażeby zwolnić miejsca dla nas. Po krótkim czasie dano nam oddzielny pokój na naszą czwórkę. Na dworze siarczysty mróz a u nas w pokoju ciepłutko jak w raj. Trzeba przyznać, że tam zawsze było ciepło w

pomieszczeniach mieszkalnych. Bo przecież w tym klimacie inaczej być nie mogło. “Fabryka” ciepła dostarczała ciepło do mieszkań. Mnie ten ich klimat bardzo odpowiadał. Zdrowotnie czułem się dobrze

Zaczęli nas odwiedzać znajomi z “pełnymi koszami” serdecznych rad. Wszyscy oni mieszkali tu już od dłuższego czasu i zdołali się dosyć znośnie urządzić. Był tu J.I. z rodziny drohobyckich krawców. Tu on był “doktor krawiec”. Obszywał żony miejscowych prominentów w tym również panią generałową Wannikow. Inny na pewno potrafiłby to odpowiednio wykorzystać. On nie potrafił. Po prostu nie umiał; za porządny to był człowiek ten J.L. Był ożeniony z miejscową kobietą, Rosjanką. Mieli córeczkę, Żanoczkę, którą on ubóstwiał. Co było niewiarygodne i nie do pojęcia – J.I. bił żonę. Po prostu, od czasu do czasu w ten sposób uczył ją rozumu. On, z takiego porządnego domu, z takim wychowaniem, niemalże “kindersztubą” ? Przychodziła do nas na niego się poskarżyć i wypłakać duszę. Gdyśmy tam przychodzili i zagadywali małą Żaneczkę co słychać, odpowiadała: papka (ojciec) przestał mamkę (mamę) lubić – już dawno nie bił. Ona (żona) próbowała go straszyć: czekaj, czekaj, mój brat jak wróci z wojny on ci za mnie odplaci. Pewnego dnia ten brat rzeczywiście wrócił; ona postawiła na stół butelkę wódki i zagrychę. Zaczęto “debatować”. Kiedy obaj już mieli dobrze w czubach, brat wstał z krzesła i powiedział: masz rację, dobrze robisz, trzeba jej te durne myśli wybić z głowy, z czasem od tego zmądrzeje.

Oprócz tego “doktora” krawca było jeszcze dwóch innych drohobyckich krawców. Ci dwaj to byli “spodniarze” to znaczy, że przede wszystkim szyli spoodnie; od tej strony znało ich niemalże całe Krywoszczokowo.

Miał tam też miejsce swego rodzaju lokalny dramat z romantycznym tłem. Była tam para – on drohobycki chłopak – ona miejscowa Rosjanka, sprzedawczyni w miejscowym sklepie spożywczym. Powodziło im się nieźle. Mieli dziecko, dziewczynkę. Pewnego dnia przyjechał do niego jego kolega, też z Drohobycza. Zamieszkał u nich; miało to być na tymczasem, bo obiecali mu oddzielne lokum. Tędy, tamtędy, między nią a tymczasowym gościem nawiązał się romans. Ten nowy i do tego jeszcze kolega, odbijał mu żonę i to z pełnym sukcesem. Doszło do tego, że ten prawowity mąż zmuszony był opuścić mieszkanie i zamieszkać gdzie indziej (mieszkanie było jej, a nie jego). Ten trzeci, nowy, przestał szukać innego mieszkania i na stałe pozostał z nią. Ten zdradzony mąż chodził jak struty. Groził, że tego kolegę zabije. Pozostało przy groźbach. Widocznie zabrakło mu odwagi. W końcowym efekcie wyjechał z nami do Polski. Tamta nowa para została w Krywoszczokowo.

Moja siostra Henia i ja nie pracowaliśmy bo było trudno urządzić się, jak również z uwagi na to, że zaczęliśmy robić przygotowania do powrotu do Polski. W związku z tym trzeba było często jeździć do Nowosybirsk dla załatwiania różnych spraw. Wilo pracował w miejscowej poliklinice, “leczył” ludzi, wypisywał lekarstwa, mierzył puls i wysłuchiwał pracę serca i płuc przy pomocy drewnianej “trąbki”; stetoskopów w Rosji wtedy nie było. Skąd to wszystko umiał ? Czytał książki lekarskie, trochę znał łacinę z gimnazjum, poza tym kierownik polikliniki prosił go ażeby pomógł w ramach swoich możliwości; lekarzy wtedy było na “lekarstwo”, a chorych bardzo dużo. Fakt, że nikomu swoimi zaleceniami nie zaszkodził, a czasami nawet i pomógł. Po wojnie studiował w Akademii Medycznej w Rokitnicy i uzyskał dyplom lekarza. Henia prowadziła ciepły dom. Znajomi lubili do nas przychodzić. Czasami przynosili ze sobą “gadającą wodę” (wódkę) i wtedy ona szykowała zagrychę. Grywano też u nas w karty. Wilo miał szczęście do kart i wzięcie u dziewczyn – robotnic mieszkających w przyfabrycznej bursie. Im to imponowało, bo niektórzy znajomi mówili do niego “per doktor”. Do tej bursy chodziliśmy razem. Każdy miał tą swoją dziewczynę. Kiedyś postanowiliśmy ugotować pierogi nadziewane kartoflą, tak jak to mama robiła. Sybirsk kartofla była syпка i bardzo smaczna. Henia zrobiła ciasto a ja pomagałem lepić te pierogi. Pięć sztuk kartofli, dla zabawy nadzialiśmy trociną drzewną zamiast kartoflami. Tylko ja i Henia wiedzieliśmy które to są (były znaczone). Gości poczęstowano tymi pierogami. Jedli aż im się uszy trzęsły i bardzo chwalili

kucharkę. I o dziwo – zjedli te pięć “trocinowych”. Wtedy dopiero ujawniliśmy cały sekret. W każdym razie, nikt się do niczego nie przyznał. Śmiechu było do rozpuku.

W Nowosybirsku ukonstytuował się Związek Patriotów Polskich – Z.P.P. Otrzymywaliśmy stamtąd różnego rodzaju produkty żywnościowe a w szczególności zagraniczne konserwy rybne. Niekiedy też coś z ubiorów jak również drobne sumy piniężne. Od czasu do czasu byliśmy zapraszani do domu Pinia kolegi, tego który jemu tak wydatnie pomógł w początkowym, poługrowym okresie. On był ożeniony z chyba o jakieś 25 lat młodszą, kobietą. Mieli dwoje dzieci. Z nimi mieszkała jej matka z młodszą córką, Ludmiłą, w moim wieku. Mąż matki był pułkownikiem w wojsku i jak dotąd, nie zdemobilizowany. Prawdę mówiąc, ta matka, bardziej aniżeli córka, pasowała na żonę kolegi Pinia. Mnie koniecznie chcieli za tę Ludmiłę wyswatać. Żarcie na tych zaprosinach bywało zawsze ekstra. W tym domu pieniędzy nie brakowało, a za pieniądze na bazarze można było kupić wszystko co dusza zapagnie.

W czasie przygotowywania dokumentów wyjazdowych, w wydziale paszportowym (OWIR) wyłoniły się pewne trudności jeżeli o mnie chodzi. Kapitan milicji kierujący tym wydziałem miał wątpliwości co do mojego pochodzenia i w ogóle o moje prawo do repatriacji do Polski jako byłego obywatela polskiego do września 1939-go roku. Różnymi sposobami próbował się upewnić czy ja jestem ja a nie jakiś Rusek. Raz nawet dał mi do przetłumaczenia jakiś rosyjski tekst na polski. Tak prawdę mówiąc, nie posiadałem żadnego wiarygodnego dokumentu potwierdzającego moją polskość. Jedyne to co kiedyś miałem, ten Połtawski dokument, ukradli mi w Stalingradzie, o czym już wspominałem. Na moją niekorzyść przemawiał mój nie-żydowski wygląd (miałem wtedy tzw. “dobry wygląd”) i bezbłędne opanowanie języka rosyjskiego. Z trudem przeszedłem przez te wszystkie próby. Bywały chwile, że przypuszczałem, że oni wszyscy wyjadą a ja zostanę tam sam. Te wątpliwości co do mojego pochodzenia mogły ewentualnie mieć jeszcze inny aspekt – próba opuszczenia Z.S.R.R. nielegalną drogą, do czego by mnie w końcu zmuszono by się przyznać, przy użyciu ich metod. Równie dobrze mogliby ze mnie zrobić Turka, Mongoła albo Eskimosa. Oni dobrze znają tego rodzaju metody.

Jak się zdołałem zorientować, rodzina kolegi Pinia nie miałaby nic przeciw temu ażeby mnie nie wypuścili. Rzecz tylko w tym, czy oni wzięli pod uwagę ten ewentualny inny aspekt o którym tylko co wspominałem ? Przypuszczam, że nie. Oni mnie namawiali. U nich miałem mieszkać i oni mieli mi pomóc uczyć się.

Ten drohobycki “doktor – krawiec” na wyjazd się w ogóle nie podawał. Jak mówił, za leniwy jest na to. Gdyby go zmusili, pod okno podstawili pociąg i dźwigiem go umieścili w wagonie – to zupełnie coś innego. Tak i pozostał w tym Krywoszczokowo. Co się później z nim działo – nie wiem.

Wilo przeżywał swoje “męki młodego Woltera”. Był mocno zaangażowany z tą dziewczyną z bursy. Może być, że gdyby jemu proponowano to co mnie, to może i byłby poszedł na to. Znadto jednak miał w sobie ten praktyczny zmysł ażeby zdecydować się na taki krok bez jakiegoś realistycznego zabezpieczenia. Nie wiem co jej przy pożegnaniu obiecywał i co potem, już w Polsce robił w tym kierunku ażeby dotrzymać to co obiecał ? Co się tyczy obiecywania, to w tym względzie miał bujną fantazję. Dla mnie zawsze był i pozostał kochanym chłopcem. Bardzo go lubię.

Nasze przygotowania nabierały na intensywności. Kupowaliśmy jak można najwięcej żywności na drogę. Nie wiedzieliśmy przecież jak długo ta droga będzie trwała. I tak w końcu nadszedł ten dzień. Musiał to być kwiecień 46-go roku. Pociąg towarowy – eszałon czekał na nas na Nowosybirskiej stacji kolejowej. W Nowosybirsku zima jeszcze trwała. Do wagonu wstawiono nam piecyk – kozę.

ZNOWU ESZAŁON - REPATRIACJA - POLSKA

Nasz eszałon zebrał ludzi z całego okręgu Nowosybirskiego. Było dużo rodzin wywiezionych z dawnych polskich ziem zaanektowanych przez Sowieców w 1939-ym roku. Obecna podróż to nie to co było w 41-ym roku. Co najważniejsze, nie nękały nas niemieckie samoloty; nie było specjalnych trudności z zaopatrywaniem się w żywność. Im bliżej na zachód tym cieplej. Towarzystwo w wagonie było znośne, czasem nawet sympatyczne. Widocznie nasz eszałon musiał mieć bardzo niski stopień pilności. Pierwszeństwo zawsze miały pociągi idące z zachodu na wschód. Coraz częściej widziało się transporty z urządzeniami przemysłowymi. Widocznie były to urządzenia niemieckich fabryk demontowanych w ramach reparacji i wywożonych do Rosji. Polska powinna była dostawać odpowiednią dolę. Jak ten podział faktycznie się odbywał - chodziły różne słuchy. O wiele później miałem możliwość rozmawiać z członkami Polsko – Sowieckich misji reparacyjnych (jeden nosił takie nazwisko jak ja). Oni dobrze wiedzieli i widzieli według jakiej sprawiedliwości się ten podział odbywał. Bywały zestawy towarowe w których okienka były okratowane drutem kolczastym. Byli to Własowcy wiezieni do syberyjskich łagrów. Poprzednio wspominałem, że na froncie był rozkaz nie brania ich do niewoli. Ci wiezieni na wschód to byli tacy którzy poddawali się aliantom już po zakończeniu działań wojennych. Obiecywano im, że nie zostaną wydani Sowiecom. Widocznie nie dotrzymanie obietnic na ogół bywa przywilejem zwycięzców, w tym konkretnym wypadku Brytyjczyków. Oni mieli w tym dużą praktykę. W 39-ym roku obiecywali Polsce wiele rzeczy. No i co ? Niedużo lepiej wyglądały te sprawy podczas Jałtańskich rozmów kiedy Europę dzielono na strefy wpływów. No i co ? Stalin był nie tylko mistrzem w oszukaństwie. O całe niebo chytrąścią przewyższał innych aliantów. Jedyne Churchill co się na nim poznał i czemu dał wyraz w swoim Foultońskim przemówieniu w lutym 46-go roku.

Im bliżej na zachód tym cieplej się stawało. zdążyliśmy przekroczyć dwie polsko – sowieckie granice: tą dawną, przedwojenną z 1939-go roku i tą nową, powojenną z 1945-go roku, wynikającą z Jałtańskich Układów.

Miejscowa ludność obecna na dworcach kolejowych przyjmowała nas bardzo nieprzyjaźnie, powiedziałbym nawet, że wrogo. “O patrzcie, patrzcie – Żydki; widocznie nie wszystkich Hitler zdążył spalić “. Oni nie wiedzieli, że w naszym eszałonie byli również Polacy powracający z sowieckich zsyłek.

Na polskich terenach działań Państwowy Urząd Repatriacyjny P.U.R. Rozdawano gorącą zupę i chleb. Stacją docelową naszego eszałonu był Szczecin - duże portowe miasto na wybrzeżu bałtyckim. Kiedyś piękne miasto, po wojnie okropnie zniszczone. Wyładowaliśmy się z wagonów i na własną rękę poszliśmy szukać jakiegoś lokum w mniej zniszczonych dzielnicach. Dawnych mieszkańców, Niemców, już prawie nie było; albo sami uciekli (do nowej polsko-niemieckiej granicy było bardzo blisko), albo ich wywieziono. Ograniczeń w wyborze mieszkania wtedy nie było. Cośmy znaleźli - było nasze. Na ulicy Matejki 28 (nowa nazwa) znaleźliśmy dom - kamienicę w zdatnym do zamieszkania stanie. Nikt tam nie mieszkał. Było nas kilka rodzin. Zajęliśmy jedno z oięter – nie pierwsze i nie ostatnie (ze względów bezpieczeństwa). Zaczęliśmy z Wilem krążyć po pokojach, a było ich dużo, z czystej ciekawości. Okazało się, że mieszkanie to kiedyś należało do jakiejś prominentnej nazistki, Pauli Koenig. Z papierów walających się po podłodze wynikało, że musiała być pisarką. W pokojach dotąd wisiały portrety führera, było więc na czym się “poznęcać”. Na kominku stała niedużych rozmiarów okrągła, blaszana puszką. Przy wstrząśnięciu coś się tam ruszało. Myśleliśmy, że popadł nam się zapomniany skarb. Młotkiem i dłutem rozbiliśmy tę puszkę. Okazało się, że była to urna z prochami, widocznie ojca tej Pauli. Widocznie był on oficerem marynarki sądząc po porcelanowej fajeczce która zachowała się w całości; był tam też metalowy guzik z rozporzka w spodniach.

Ja urządziłem się do pracy przy odgruzowywaniu pewnego obiektu w którym miał być urząd pocztowy. Robotami kierował przedwojenny poczciarz z Kresów Wschodnich. Płacili mi według godzin. Dostawaliśmy też kartki na chleb i talony aprowizacyjne.

Wilo ze swoim wujkiem, Piniem, pojechali na Dolny Śląsk, bo rzekomo tam miał się znajdować jego drugi wujek, brat Pinia, Łajzer. Jazda pociągami w owych czasach należała do sztuk cyrkowych. Pociągi były niemożliwie przepełnione. Ludzie jechali na dachach wagonów i na schodkach; prawie jak w taszkienckich tramwajach i autobusach. Pociągami w tamtych czasach jeździli przeważnie “szabrownicy” – ludzie szukający “szczęścia” na tzw. “Ziemiach Odzyskanych”.

Okazało się, że rzeczywiście Łajzer, Pinia brat już tam był od pewnego czasu razem ze swią żoną, Manią, (tą z Wodnego). Przyjechali prosto z Drohobycza na Dolny Śląsk, do Wałbrzycha. Po otrzymaniu tej wiadomości od Pinia, zostawiliśmy z Henią Szczecin i puściliśmy się w drogę do Wałbrzycha. Wałbrzych był jednym z większych miast na Dolnym Śląsku, ośrodkiem górnictwa węglowego i przede wszystkim związanego z górnictwem. Była tam duża elektrownia, huta szkła, zakłady budowy maszyn górniczych i wiele innych obiektów przemysłowych zapewniających pracę dziesiątkom tysięcy ludzi.

Miasto wojną nie tknięte, malowniczo położone w pasmie Gór Sudeckich, otoczone lasami. Wokół wieże wyciągowe kopalni węgla. W mieście dotąd było dużo Niemców pracujących w kopalniach pod ziemią. W tym czasie Niemcy musieli nosić białe opaski na lewym ramieniu, podobnie do żółtych opasek noszonych przez Żydów w czasie okupacji. Żydzi na ogół koncentrowali się w miastach i miasteczkach Dolnego Śląska. Było też wielu Polaków - repatriantów z Drohobycza, Borysławia, Stryja, Lwowa, Tarnopola, Stanisławowa itp. Dominowali jednak Żydzi – repatrianci z Rosji. Stąd też o Wałbrzychu, dawna nazwa Waldenburg, mówiono Judenburg.

Myśmy dostali mieszkanie w samym śródmieściu. Wilo zamieszkał u drugiego wujka, Łajzera. Łajzer był kierownikiem sklepu mięsnego, chociażby z tej racji, że jeszcze przed wojną był wysoko kwalifikowanym fachowcem w branży mięsnej. Pinio zaczął pracować w kopalni, pod ziemią, jako elektryk. Ja pracowałem jako kreślarz a później jako konstruktor detali w Zakładach Budowy Maszyn Górniczych – Huta Karol (dawniej Carlshütte). Henia urządziła się do pracy w Komitecie Żydowskim, jako maszynistka. W Wałbrzychu było dużo imigrantów z Francji, przeważnie górników. Oni od razu wrócili do takiej samej pracy w kopalniach wałbrzyskich. Młodzi zaciągali się do wojska, albo też do bezpieki. Wielu z nich od razu ściągnięto do Warszawy, do pracy w Ministerstwie Bezpieczeństwa. Jako grupa ludnościowa uważani byli za podporę powojennego reżymu. Większość z nich była we Francji członkami partii komunistycznej.

W pracy dostawaliśmy zwiększone przydziały żywnościowe z tytułu przynależności do przemysłu węglowego. W domu była służąca, Niemka. W sumie, można było żyć w tym Wałbrzychu i to nieźle. Wilo zaczął pracować u dentysty. To był przecież jego dziedziczny zawód – jego ojciec przed wojną był dentystą, tylko że pracował po kryjomu, nielegalnie, bez formalnej licencji. Już przedtem wspomniałem, że Wilo miał wzięcie u kobiet, na ogół starszych od niego. W tym względzie, w pewnym sensie ja byłem jego mężem zaufania.

Po pewnym czasie postanowiłem i też od razu przenieść się do Wrocławia. Tam przecież mieszkała wielka miłość mojego życia, moja przyszła żona – Gina. W urzędzeniu się do pracy w Państwowej Żegludze na Odrze pomógł mi mój przyszły szwagier, jeden z dyrektorów tej instytucji. Mieszkałem u znajomego dentysty, drohobyczanina; spałem w gabinecie gdzie w dzień przyjmowano pacjentów i już z samego rana musiałem zwijać swoje legowisko i dopiero na noc rozkładać je na nowo. Bardzo się z tym dentystą zaprzyjaźniłem. Morowy chłop, dowcipny i trochę muzykalny. Na ile pamiętam, miałem też jakiś udział w wyswataniu go za Rosjanę (w rzeczywistości była Tatarką), rozwódką. Urodziło im się dziecko, dziewczynka. W sumie związek ten okazał się nieudany i po paru latach rozleciał się. Ona wyjechała do Kanady i więcej nie wróciła. On pozostał z córką we Wrocławiu.

W żegludze pracowałem dwa lata, jako konstruktor na wydziale technicznym. Instytucja ta była czymś w rodzaju snobistycznego gniazda. Pracowały tam kobiety (większość) i mężczyźni o wygórowanych aspiracjach inteligenckich. Trochę to zakrawało na towarzystwo wzajemnej adoracji: pan kapitan, pani pułkownikowa, pan radca, pani magister i temu podobna tytułomania. Królował tam naczelny dyrektor, bardzo dystyngowany pan z niemniej dystyngowaną sekretarką. Pan dyrektor był przed wojną inżynierem budowlanym, wybitnym specjalistą w tej branży. To właśnie on był autorem przedwojennego „Prawa Budowlanego Rzeczypospolitej Polski”. Okupację niemiecką przeżył na tzw. aryjskich papierach pod innym oczywiście nazwiskiem.

A propos innych nazwisk, albo jak kto woli – zmiany nazwisk po wojnie. Przed wojną byli Friedlenderowie, Goldbergowie, Kastenbaumowie, Nusbaumowie, Pomerancowie, Probstowie, Topermanowie, Brenerowie, Urbachowie, Holcmanowie, Winklerowie itp. Po wojnie pojawili się: Ferscy, Złotniccy, Poznańscy, Góralowie, Adamowscy, Michalakowie, Beczkowscy, Topolscy, Winnicy, Zambrowscy, Drzewieccy, Winiarscy, Różańscy, Romkowscy itp.

Skąd się to wzięło? Otóż byli ludzie którym w czasie okupacji niemieckiej udało się zdobyć tzw. „aryjskie papiery” na inne, polsko brzmiące nazwiska z nie-żydowskim rodowodem (metryki, wypisy metrykalne z kościelnych rejestrów itp.). W tej grupie byli tacy którzy niezwłocznie po wojnie wracali do swoich przedwojennych nazwisk. Czym się kierowali? Różne były motywy; jednych ciągnęła nostalgia do przeszłości, tradycji, innych poczucie lojalności i szacunku dla tych bliskich zamordowanych przez Niemców. Ci którzy pozostali po wojnie przy okupacyjnych, polsko brzmiących nazwiskach kierowali się przeważnie względami pragmatycznymi. Po pierwsze – nie chcieli powracać do przeszłości, chcieli ją bezpowrotnie zapomnieć (tak jakby to było możliwe?). Po drugie - myśleli, że tym potrafią ułatwić życie swoim dzieciom. Można by, ewentualnie jednych i drugich zrozumieć. W sumie, ilościowo biorąc była to nieznaczna grupa.

Inną, ilościowo bardzo znaczną grupę stanowili ci którzy pod okupacją nie byli i wrócili do Polski po wojnie, głównie ze wschodu. Do zniewolenia Polski według sowieckich wzorów potrzebne były nowe kadry. Polakom Stalin nigdy nie dowierzał. Polskich komunistów powyrzelał w czasie czystek 36-go – 37-go roku. Tym resztkom którym jakimś cudem udało się ocaleć, jeszcze bardziej nie wierzył; uważał, że było to zbrodnicze niedopatrzenie i niedbalstwo ze strony wiadomych organów. Do praktyk lat 36 i 37 może i było mu trudno wrócić (kto go tam zresztą wie?), bo ci ludzie wymknęli się spod jego jurysdykcji, mieszkali w Polsce, a organizować procesy poza obrębem Z.S.R.R można było i było to robione (Praga, Sofia, Budapeszt, Bukareszt), ale już nie w takiej masowej skali jak w Moskwie w tamtych latach. A może i to polskie kierownictwo, w tym względzie, było mniej powolne aniżeli ci inni w tzw. „demoludach” (demokracje ludowe) wyżej wspomnianych? Kto ich tam wie? Więc postanowił użyć do tego celu Żydów.

Stalin był zoologicznym antysemitą. Nigdy nie wyzbył się uczucia zemsty za doznane upokorzenia (a może sam je sobie wmówił?) ze strony ścisłej świty Lenina w której zawsze roiło się od Żydów, ludzi o europejskiej erudycji, ze znajomością języków, których on, Stalin nigdy nie posiadał. Do końca życia nie nauczył się żadnego języka, a jego rosyjski z gruzińskim akcentem na pewno musiał ranić ucho przeciętnie inteligentnego Rosjanina, co mu wcale nie przeszkodziło samemu zrobić z siebie „wybitnego językoznawcy”.

Na tyle jednak był chytry i w tym względzie ostrożny, że nigdy nawet słowem wobec obcych nie zdradził się ze swoją animozją graniczącą z nienawiścią w stosunku do Żydów. Raz tylko, jak pisze jego córka Swietłana w swojej pierwszej książce „20 listów do Przyjaciela”, wypłynął ze złością słowa: Już nie mogła sobie ruskiego znaleźć! Chodziło o Żyda, Morozowa, za którego później wyszła za mąż. Potem i tak wymusił na jej rozwód z Morozowem pomimo, że miała z nim syna i nadała mu imię po dziadku – Josif.

Żydowską żonę swojego syna z pierwszego małżeństwa, kapitana artylerii Jakowa, kazał aresztować i wysłać do łagru gdy ten wpadł do niewoli niemieckiej podczas wojny. Zarzut, jak zwykle był absurdalny (który na pewno on sam, Stalin wymyślił), że to ona namówiła go do tego po to, ażeby jemu, Jakowowi życie zachować. Nota bene, Chruszczow też był nie wąskim antysemitą, tylko że swoją żydowską synową (taką jedną miał w rodzinie – żonę syna, który zginął na wojnie) do łagru nie wysłał. Chruszczowa można zaliczyć do antysemitów prymitywnych. Potwierdzenie tego można znaleźć w książce – reportażu Teresy Torańskiej “ Oni “.

Użycie Żydów do tych niecznych celów polegało na tym, że Żydami obsadzano najwyższe i najważniejsze stanowiska w aparacie bezpieczeństwa (Romkowski, Fejgin, Światło, Różański, Brystygierowa i wielu innych). Miało to się opierać na tym, że Żydzi chętnie się będą mścić za krzywdy doznane w czasie okupacji w których niekiedy uczestniczyły również przestępcze typy, te niskie z najniższych nizin społecznych. Miało to na celu generalizowanie faktów “szmalcownictwa”. Stalin musiał być poinformowany o antysemitycznych animozjach wśród pewnej części społeczeństwa polskiego. Stalinowska perfidia polegała na tym ażeby całą winę zwalić na Żydów i tylko na Żydów. Jak gdyby w bezpieczeństwie w ogóle nie było Polaków, co jest oczywistą nieprawdą. Nie można nie wspomnieć o pogromie kieleckim w 46-ym roku, o mordowaniu Żydów powracających do swoich poprzednich miejsc zamieszkania, o wyciąganiu Żydów z pociągów i mordowaniu ich, o mordowaniu Żydów - partyzantów przez oddziały N.S.Z.-u. Ale generalizowanie tego rodzaju faktów stanowiłoby wielką krzywdę i obrazę pamięci tych szlachetnych Polaków którzy z narażeniem własnego życia i życia swoich rodzin starali się na swój sposób pomagać Żydom, udzielali im schronienia i dzielili z nimi ostatni czasem kęs chleba. W jerozolimskim “Jad Waszem” istnieje Aleja Sprawiedliwych Tego Świata i tam zasadza się drzewka dla upamiętnienia tych szlachetnych ludzi którzy pomagali Żydom w ich biedzie. Widnieją tam nazwiska tych szlachetnych ludzi z całej Europy. Niemało jest tam również nazwisk polskich.

Wracając jeszcze do sprawy zmiany nazwisk, chciałbym wspomnieć o istnieniu tzw. “Nomenklatury”. W pierwszym okresie jak również i później, wszystkie kluczowe stanowiska w aparacie państwowym zarówno w sektorze gospodarczym jak i politycznym były filtrowane i zatwierdzone przez wydział kadr komitetu centralnego partii. Faktem niezaprzeczalnym był stosunkowo wysoki udział Żydów, niewspółmierny do ogólnej liczby mieszkańców Polski.

Przed wojną w Polsce było 3½ miliona Żydów, w tym w samej tylko Warszawie przeszło 300 tysięcy. Po wojnie pozostało przy życiu niewielu (liczb, niestety, nie pamiętam). Duży był napływ Żydów powracających z Rosji. Większość z nich traktowała Polskę jako tranzyt tylko i po krótkim czasie opuszczała ją – legalnie i nielegalnie, z milczącym przyzwoleniem ówczesnych władz. Według moich ocen w Polsce pozostało około 80 tysięcy (do exodusu w latach 56 i 57). W tej liczbie duża ilość posiadała odpowiednie kwalifikacje predestynujące do piastowania nomenklaturnych stanowisk. Było też niemało półanalfabetów dla których język polski niemalże był językiem obcym. Wielu z nich stawiano na kierownicze stanowiska w przemyśle, handlu, a nawet i wyżej. W ich przypadku dominującym kryterium było tzw. “zaufanie”. Nie jest tajemnicą, że co najmniej 90 procent Polaków w tym okresie nowej władzy nie sprzyjało. Cóż więc było robić ? Ażeby tę sytuację uczynić bardziej strawną dla ogółu społeczeństwa, kazano im zmieniać żydoowskie nazwiska na polsko brzmiące. Większość przystawała na to i to nawet dość chętnie. Byli też tacy co nie tak bardzo chcieli, wychodzili jednak z założenia, że jak się nie ma co się lubi, to się lubi co się ma. W ten sposób powstawały czasem takie kuriozy jak Sruł Kiejstut Potocki lub Mojżesz Hieronim Radziwiłł itp.

Takich co tym kryteriom nie podlegali, było tylko kilku i to tych najbliższych stojących – wpierr koło Gomulki, a później koło Bieruta. Chodzi przede wszystkim o Bermana i Minca i ich kilku najbliższych pomocników. Ci pozostali przy swoich niezmiennych nazwiskach. Fakt, że byli to ludzie o bardzo wysokich kwalifikacjach zawodowych, wykształceni na przedwojennych polskich uniwersytetach i politechnikach, nie mówiąc o zaletach politycznych

odpowiadających obecnemu reżymowi. W owym czasie krążył dowcip, że polską gospodarką rządzi Chińczyk – MinSzyrWang (chodziło o Minca i jego dwóch zastępców – Szyra i Wanga). Tak więc żydokomuna w pierwszym, powojennym okresie wcale nie była mitem, a stanowiła realną, codzienną rzeczywistość.

W późniejszych latach ta sytuacja uległa kardynalnej zmianie. Wyrastało nowe pokolenie ludzi, wykształconych po wojnie. Młodzi ludzie mieli swoje ambicje, a urzeczywistnienie ich mogło mieć miejsce tylko poprzez akces i akceptację nowego porządku; mniej lub więcej, szczerze lub nie szczerze. Wiadomo przecież, cel uświęca środki. Ponadto, wojskowe kryteria w rodzaju “nie matura lecz chęć szczerza zrobi z ciebie oficera” stosowane również w gospodarce – przestało działać, zostało wyrzucone do lamusa. Zaczęto wymagać dyplomy. Cudów nie było. Kto chciał utrzymać swoją pozycję, musiał się uczyć. Trzeba przyznać, że ówczesne władze, w tym względzie bardzo szły na rękę.

Po dwóch latach pracy w żegludze, nasz drohobycki znajomy, Paweł N., były instruktor spawalniczy w naszej szkole technicznej, otrzymał nominację na dyrektora Wrocławskiej Rafinerii Metali Nieżelaznych. Rafineria należała do koncernu metali nieżelaznych w Katowicach, generalnym dyrektorem którego był K.A., późniejszy wiceminister przemysłu chemicznego.

W rafinerii pracowałem w wydziale inwestycji. Wpierw była odbudowana a potem rozbudowana, i właśnie tym ja się tam zajmowałem. Do wojny Wrocław był dużym, ładnym miastem. W czasie wojny uznany za fortecę (Festung Breslau) bronił się zaciekle, w końcu jednak musiał ulec, stąd tak znaczne zniszczenia. Miasto chyba było w 60-iu procentach zniszczone.

Z czasów pracy w Wałbrzychu i później we Wrocławiu zdołałem zaoszczędzić trochę grosza. Moja przyszła żona, Gina, również pracowała – na wystawie Ziem Odzyskanych i też zaoszczędziła trochę pieniędzy. Za wspólne oszczędności kupiliśmy nieduże, częściowo umeblowane mieszkanie na Sępolnie i zamieszkaliśmy razem. Do tego czasu mieszkała z rodziną swojej siostry, Nuną, z mężem i dzieckiem, - dziewczynką, Irką z egzotycznym rodowodem - urodziła się w Jangi Julu, w Uzbekistanie. Zajmowali willę na Sępolnie, wspólnie z jednym z dyrektorów żeglugi – tamci na piętrze, oni na parterze. Wszystkie meble poprzedni właściciel, Niemiec, pozostawił. Nie było wiadomo gdzie się podział. Tę dziewczynkę Iruśnię właściwie ona wychowywała, bo Nuna pracowała i studiowała na Wrocławskiej Politechnice. Później przybyło drugie dziecko - chłopczyk, Romuś.

Kilka zdań o Nunie. Jeśli wierzyć, że gdzieś po tej ziemi chodzą zakonspirowani aniołowie, to jednym z nich musiała być Nuna. Jej mądrość, dobroć, miłość do ludzi nie znała sobie równych. Wszystkim zawsze i wszędzie pomagała. Na poddaszu ich willi mieszkała rodzina Kocikowskich. On był kapitanem słodkich wód (na Odrze). Pani Kocikowska miała syna z pierwszego męża. Chodził już wtedy do szkoły, ale chęci do nauki i zdolności nie przejawiał. Nuna się nim zajęła z całą powagą i serdecznością, nie szcędząc swego czasu; to kosztem swojej rodziny. Właściwie, to ona z niego zrobiła inżyniera. Być żoną, matką, pracować i jednocześnie studiować - któż by to potrafił ? Nuna potrafiła. Wszystkie egzaminy zdawała z najwyższą oceną. Kto jeszcze by to potrafił ? Nuna to potrafiła. Do niej do domu przychodzili koledzy – studenci z problemami; nikomu i nigdy nie odmówiła pomocy. Mieszkali na takiej wewnętrznej uliczce, gdzie auta nie zajeżdżały. Wszyscy ją tam znali i poważali. W pobliżu był kościółek i nieduża plebania. Ze słyszenia (opowiadali sąsiedzi) wiem, że kiedyś zjawiło się u nich w domu dwóch księży i zaczęli mówić o niej, jaka ona jest, co o niej mówią sąsiedzi i w konkluzji stwierdzili, że jej miejsce z jej dobrocią jest w kościele katolickim. Próbowali ją namówić na przejście na nową wiarę (tak jak gdyby myśmy byli afiliowani do jakiejś innej wiary; nasza cała rodzina wyznawała zawsze poglądy absolutnie ateistyczne). Dla mnie Nuna była więcej aniżeli rodzona siostra. Taka była ta nasza, nieodżałowana Nuna.

Czy kilkuletnie dzieci potrafią być zazdrosne ? Na podstawie mojego doświadczenia z małą Irką - chyba tak. Ja po prostu czułem, że dla tego dziecka jestem “non grata”. Gdzieś w tym małym serduszku musiał zagnieździć się niewytłumaczalny strach, że ja jej kiedyś zabiorę tę

jej Gińcię. I rzeczywiście, tak się przecież stało. Wkrótce u nas pojawiło się dziecko, syn, Jerzyk. Urodził się “niedonoszony”, bo po 8-iu miesiącach. Miesiąc pozostał w szpitalu, w inkubatorze. Szpital był niedaleko i Gina chodziła codziennie dokarmiać go piersią.

Przy załatwianiu formalności związanych z dodatkiem rodzinnym okazało się, że nie mamy formalnego ślubu. Trzeba to było załatwić i to jak najszybciej. Zwolniłem się z pracy na kilka godzin i we Wrocławskim Zarządzie Miejskim, “galopem” wzięliśmy formalny ślub. Jednym ze świadków był Giny brat, Józek. Kto był drugim – nie pamiętam.

Giny brat, Józek z rodziną, również mieszkał we Wrocławiu. Pracował w energetyce jako dyrektor wrocławskiego podokręgu energetycznego. Później wysoko zaawansował; został naczelnym dyrektorem Zjednoczenia Energetycznego Okręgu Dolnośląskiego. Jego żona, Hela też była drohobyczanką. Ich synek, Rysio urodził się w Drohobyczu. Obie rodziny - Józka i Nuny wróciły do Drohobycza z Jangi Jula i niedługo po tym, w ramach repatriacji, wyjechali do Polski i osiedlili się we Wrocławiu. Józek był kochany chłop. Zawsze i wszędzie był lubiany, tylko trochę naiwny. Miał słabość do pięknych kobiet. Hela o tym wiedziała, ale nic na to poradzić nie mogła. Widocznie musiała się z tym pogodzić. Na integralność ich stała małżeńskiego to nie wpływała. Zawsze był przykładnym ojcem. We Wrocławiu urodziło im się drugie dziecko, dziewczynka, Misia.

Obaj szwagrowie, Józek i Henek mąż Nuny, w jakiejś mierze należeli do wrocławskich prominentów. Widocznie z tego tytułu, jak również z uwagi na częste wyjazdy w teren posiadali zezwolenia na broń. Czy któryś z nich chociażby raz wystrzelił ze swojego pistoletu? Wątpię. Józek, kiedyś w domu bawił się z synkiem Rysiem i naładowanym pistoletem i nagle pistolet wystrzelił. O mały włos nie trafił w małego Rysia. Potem znaleźli kulę w płaszczu na wieszaku. Ja z mojego doświadczenia wojskowego wiedziałem, że każda broń palna jeden raz w życiu strzela bez pocisku. Józek o tym nie wiedział, bo w wojsku nigdy nie służył.

Wszystkie trzy nasze rodziny żyły zgodnie i przykładowo. U Nuny był dom bardzo otwarty. Znajomi lubili tam przychodzić. Przeważało towarzystwo byłych drohobyczan. Wszyscy byli dobrze urządzi. We Wrocławiu również mieliśmy swojego drohobyckiego krawca. Jeżeli ten w Nowosybirsku był “doktor krawiec”, to ten we Wrocławiu mógł śmiało być “profesor krawiec” z tym tylko, że tamten był damski, a ten był męski. Po wojnie był ożeniony z Niemką. Dlaczego? Nigdy nie potrafiłem zrozumieć jak ludzie, Żydzi, którzy przeżyli okupację niemiecką mogli się po wojnie żenić z Niemkami. A takich było wcale nie tak mało.

W tym czasie często odbywały się w sądzie rozprawy przeciwko ujawnionym policjantom służących u Niemców. Korzystali oni z okazji repatriacji Polaków i Żydów na Ziemię Zachodnie i tam się “dekowali”. Wyroki zawsze były te same – kara śmierci. Bywały również procesy kolaborantów żydowskich. Również i wobec nich ferowano karę śmierci. Czy zawsze takie wyroki wykonywano? Nie wiem. Pamiętam jeden taki proces który trwał 3 dni. Sądzone byłego rzeźnika z Drohobycza. Służył w żydowskiej policji porządkowej (ordungsdienst) w getcie. Byli świadkowie którzy przeżyli okupację. Niektórzy z nich nawet świadczyli na jego korzyść. Widocznie kiedyś wyświadczył im jakąś przysługę za którą teraz chcieli mu się odpłacić. Mimo to, sąd skazał go na śmierć. W sądzie apelacyjnym zmieniono mu karę śmierci na dożywocie, a jeszcze później na 20 lat. W końcu, po iluś tam latach wyszedł z więzienia i udało mu się wyjechać do Kanady.

We Wrocławiu działał dobrze zakonspirowany Komitet Żydowski. Tam znowu “królem” czyli Przewodniczącym był gość z Borysławia, J.E., przedwojenny komunista. Tym którzy się do niego zwracali, komitet udzielał pomocy w postaci produktów i odzieży pochodzących z darów żydostwa amerykańskiego. Według krążącej gadki - pomagać to trochę pomagali, ale jeszcze więcej sobie samemu. W późniejszych latach J.E. aresztowali i to wcale nie za “ciuchy”, tylko w ramach tzw. międzynarodowej konspiracji przeciwko komunistom. Wtedy była moda na tzw. “bezrodnych kosmopolitów”. Oczywiście o Żydów chodziło. Nowy wymysł Stalina. Miał ten internacjonalista, wódz ludzkości, pomysły. Nie ma co. Tak zwana zimna wojna zaczynała nabierać żywych kolorów. Polskę “obdarowano” nowym marszałkiem,

znany i rzeczywiście wielkim bohaterem wojny z Niemcami – sowieckim marszałkiem K.K.Rokossowskim. On to nawet nie musiał nazwiska zmieniać. Polska została zaprzęgnięta w rydwan wysiłku zbrojeniowego ponad swoje możliwości gospodarcze. Daną Polsce możliwość przystąpienia do Planu Marshalla rząd polski pomimo, że miał na to wielką chętkę, pod presją i nakazem Świątów musiał odrzucić. Do czego doszły Niemcy w wyniku tego planu, a do czego Polska bez tego planu – wiadomo.

Rozpoczęto bardzo intensywną rozbudowę wszystkich gałęzi przemysłu zbrojeniowego i to pod czujnym i zawsze podejrzliwym okiem sowieckich doradców falangami przysyłanych z Rosji.

W Katowicach (wtedy już przemianowanego na Stalinogród) utworzono Specjalny Zarząd Przemysłu Materiałów Wybuchowych. Naczelnym Dyrektorem tego Zarządu mianowano drohobydzianina, Pawła N., mojego dyrektora z Wrocławskiej Rafinerii Metali Nieżelaznych. On też mnie namówił do pracy w tym zarządzie. I tak, 1-go września 1950-go roku zacząłem pracować w Katowicach. Gina z dzieckiem na razie pozostały we Wrocławiu. Co tydzień lub dwa przyjeżdżałem do domu.

Ten nowy Centralny Zarząd powstał na bazie przedwojennego koncernu materiałów wybuchowych – Lignoza - zaspokajającego potrzeby górnictwa węglowego.

Kilka zdań o Pawle N. nowomianowanym dyrektorem C.Z.-u. Przed wojną, po zdaniu matury w drohobyckim gimnazjum państwowym rodzice wysłali go do Lublany, uniwersyteckiego miasta w dawnej Jugosławii, studiować medycynę. Bo o czym marzyli żydowski rodzice? Oni chcieli ze swoich pociech zrobić lekarzy, adwokatów, inżynierów; najmniej chcieli rewolucjonistów bo uważali, że to nie jest żydowski fach i nie Żydzi powinni się tym zajmować. Rzeczywistość jednak była zupełnie inna - młodzież zawsze chciała to czego nie chcieli rodzice. Trochę to ten Pawełek postudiował tę medycynę, ale jeszcze więcej zajmował się polityką. Widocznie nie bardzo to było w smak tamtejszym władzom, bo go relegowali z uniwersytetu, wzięli za kark i wyrzucili z powrotem do Polski. Wrócił do Drohobycza. Niedługo potem go aresztowano i wysłano do Berezki Kartuskiej wtedy już "pracującej" na pełnych obrotach. Norma prawna była 3-y miesiące tzw. administracyjnego zatrzymania. Nigdzie jednak nie było napisane, że po 3-ch miesiącach i kilku minutach na wolności, nie wolno było zaaplikować od razu nowych 3-ch miesięcy. W ten sposób Paweł N. "spędził" w Berezce kilka takich kadencji. W tym mniej więcej czasie "pensjonariuszami" Berezki było wielu późniejszych "prominentów" powojennej Polski. Gwoli prawdy trzeba powiedzieć, że podpisanie deklaracji o nie podejmowaniu działalności politycznej natychmiast przywracało wolność. Co należy podkreślić, że nie żądano wyrzeczenia się ideologii, ani też przekonań - a tylko nie podejmowania działalności politycznej sprzecznej z ustawodawstwem ówczesnego państwa polskiego. Tego rodzaju deklarantów było wprawdzie niewiele, ale jednak niektórzy na to szli, z różnych przyczyn – albo zdrowotnych albo też rodzinnych. Paweł N. tego rodzaju deklaracji nie podpisywał pomimo, że przy każdym zwolnieniu proponowano mu. Już po wojnie, przy nowej władzy deklarantom tego nie wybaczano i nie zapominano.

Po 39-ym roku Paweł N. był instruktorem spawalniczym w naszej szkole technicznej o czym już wspominałem. Ożenił się i był przykładnym mężem. Po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej od razu został zmobilizowany i wkrótce potem wpadł do niewoli niemieckiej. W jakiś sposób udało mu się wydostać. Dostał się do partyzantki czeskiej i potem znowu go Niemcy złapali i wysłali do Oświęcimia. Oświęcim przeżył, ale potem Sowietci zatrzymali go i wysłali do specjalnego łagru dla byłych sowieckich żołnierzy, którzy wpadli do niewoli niemieckiej i mimo wszystko przeżyli. W tym łagrze trzeba było udowodnić, że się do niewoli nie poszło dobrowolnie i jakim cudem pozostało się przy życiu. W jaki sposób taką rzecz można udowodnić, musieli wiedzieć tylko oprawcy którzy tym łagrem zarządzali. Według nich, sowieckim żołnierzom w żadnych okolicznościach nie wolno się poddawać; od tego przecież pozostawała ostatnia kula i każdy kto z niej nie skorzystał - był podejrzany. Nieco podobne kryteria stosowano wobec Żydów którzy byli pod okupacją niemiecką i którym cudem udało się

przeżyć. Pierwsze pytanie zazwyczaj brzmiało: jak to może być ? Przecież wszystkich Żydów Niemcy zabijali, a co z tobą ? Jeżeli ciebie nie zabili, to albo musiałeś z nimi współpracować, albo też ich oszukałeś (?!). Również i w tym przypadku ten biedny człowiek miał udowodnić, że ani jednym ani też drugim się nie zajmował. Tylko jak to mógł udowodnić ?

Wspomniany łagier był w miejscowości Czartków w okolicy Lwowa (?). Nasz bliski znajomy, Milek T., w jakiś sposób dowiedział się o Pawle N. Skontaktował się ze znajomym Ukraińcem, spod drohobyckiej wsi, przedwojennym komunistą (nazywał się Molku Bożyk), lejtnantem N.K.W.D. który znał Pawła N. z przedwojennego okresu kiedy obaj współpracowali jako młodzieżowcy na niwie politycznej. Milek T. razem z Bożykiem pojechali do Czartkowa i tam Bożyk złożył osobistą pisemną porękę, że Pawła N. znał przed wojną, co robił, jakie polityczne poglądy wyznawał itp. Na tej podstawie Paweł N. został zwolniony, przyjechał do Drohobycza i stamtąd, przy pierwszej sposobności z repatriacyjnym transportem wyjechał do Polski. O tym wszystkim wiem od Milka T. z którym byłem zaprzyjaźniony.

Jeszcze we Wrocławiu Paweł N. zaczął studiować chemię na Politechnice Wrocławskiej. Centralny Zarząd pod jego kierownictwem zaczął rósć w siłę. Dokooptywano coraz to nowe zakłady, w tym przedwojenną Państwową Wytwórnę Prochów (P.W.P.) w Pionkach koło Radomia, Łęgnowskie Zakłady Chemiczne koło Bydgoszczy i inne. Ja byłem jednym z pracowników pionu inwestycyjnego który się wtedy organizował. Centralny Zarząd mieścił się w nowym budynku przy ulicy Kościuszki róg Poniatowskiego. Dostałem mieszkanie w części mieszkalnej tego budynku. Od razu sprowadziłem z Wrocławia Ginę z dzieckiem. Część mieszkalna budynku miała oddzielne wejście. Mieszkaliśmy tam we cztery rodziny: Paweł N. z żoną (bezdzielnymi) na parterze, my z Giną na piętrze, na przeciwko Dr. Wiktor Załachowski z żoną (bezdzielnymi) specjalista od górniczych materiałów wybuchowych; wysoki, chudy, z postawy przypominał pruskiego oficera. Pod nimi zajmował mieszkanie naczelny inżynier Centralnego Zarządu Zdzisław L. z rodziną, były więzień Matthesen. Wszyscy inni pracownicy byli mieszkańcami Katowic albo okolicznych podkatowickich miejscowości. Gina była bardzo zaprzyjaźniona z żoną Pawła N., Lalą, jeszcze z Wrocławia. Stosunki sąsiedzkie z resztą współlokatorów były poprawne. Nasz Jerzyczek zmienił sobie noc na dzień i nam nie dawał spać w nocy. Sam to sobie w dzień podsypiał, widocznie po to ażeby w nocy nam dawać w kość. Rano, jak przychodziłem do biura (chodziłem przez piwnicę), strażnik witał mnie słowami: o, tej nocy chyba pan w ogóle nie spał, aż tu słyszałem jak się wasz maluch darł. Dawał mi radę: trzeba mu do flachy wina wlać przed snem i wtedy będzie spał jak suseł, aż do rana, zobaczy pan. Niezła rada, dla dorosłych też by pasowała tyle tylko, że bez mleka, albo oddzielnie – najpierw wino a potem mleko i to jeszcze z jakąś zagrychą. Z rady strażnika nie skorzystaliśmy

Po porodzie Jerzyka, u Giny zaczęły się ujawniać niedomagania sercowe. Okazało się, że cierpi na niedomykalność zastawek sercowych. Lekarze twierdzili, że jest to wada dziedziczna. Jej ojciec całe życie miał do czynienia z sercem. Diagnostyka przed wojną daleka była od dzisiejszej. Stale zażywał lekarstwa, wtedy bardzo drogie, kosztem wielu wyrzeczeń. Życie lubi płatać niesprawiedliwe figle – jedni dziedziczą kamienice, place, konta bankowe itp., inni natomiast wyszukane i rzadkie choroby. Myśmy mieli tę “przyjemność” należeć do tych drugich. Oboje moich rodziców cierpiało na nadciśnienie, więc niby dlaczego ja miałem być “gorszy” ? Całe późniejsze życie musiała zażywać lekarstwa i to w liczbie mnogiej. Później i ja do niej doszłusowałem. Najtrudniejszy jest ten pierwszy okres kiedy lekarz na pytanie ile czsu trzeba będzie dane lekarstwo zażywać, odpowiadał: do końca życia, dodając przy tym, że najpierw trzeba się przyzwyczaić, potem polubić i wtedy łatwiej się je znosi. Trochę przypominało to dowcip jak to chłopiec przychodzi do lekarza i ten po jego skrupulatnym zbadaniu, powiada: gospodarzu, wy macie syfilis; wtedy chłopiec się pyta: panie doktorze, a czy to przechodzi ? Lekarz pokiwał głową i powiada: oczywiście, na żonę i na dzieci i jak będziecie mieli trochę “szczęścia”, to również i na wnuki. Coś w tym chyba jest, o czym w późniejszym życiu mogłem się przekonać. Oczywiście nie na przykładzie syfilisa, tylko wad sercowych. Na syfilis w końcu

znaleziono lekarstwo przekształcające go w uleczną chorobę. Na serce, zdaje się lekarstwa dotąd nie ma, chyba ingerencja chirurgiczna, ale to już jest zupełnie inna sprawa i do tego później powrócę.

Po pewnym czasie na szczeblu rządowym zapadła decyzja przeniesienia naszego Centralnego Zarządu do Warszawy. Zbiegło to się z rozparcelowaniem Ministerstwa Przemysłu i Handlu na cały szereg ministerstw branżowych, w tym Ministerstwa Przemysłu Chemicznego. Ministrem został dawny bereziak, Bolesław Rumiński, współwizier Pawła N., przedwojenny komunista co mu wtedy nie przeszkadzało być jednym z odpowiedzialnych inżynierów w Państwowym Monopolu Spirytusowym (P.M.S.). Jednym z wiceministrów odpowiedzialnym za chemię wojskową częścią integralną którego stanowił nasz Centralny Zarząd, mianowano Karola Akermana. Uchwałą rządu naszemu Centralnemu Zarządowi przydzielono specjalną pulę mieszkaniową w Warszawie, co w tym czasie stanowiło ekstra przywilej i magnes przyciągający co najlepsze siły techniczne z całego kraju. Prawo na otrzymanie przydziału na mieszkania w Warszawie obejmowało prawie, że wszystkich katowickich pracowników a w szczególności technicznych, jeżeli tylko wyrażali zgodę na przeniesienie. Byli też tacy co rodzinnego Śląska nie chcieli opuścić; ci znaleźli inną pracę, o co w tym czasie było nietrudno, szczególnie na Śląsku.

Gina z Jerzykiem tymczasowo wyjechała do siostry do Wrocławia, a ja zająłem się przeprowadzką. W krótkim czasie otrzymaliśmy mieszkanie na Muranowie, w zupełnie nowej dzielnicy wznoszonej na gruzach byłego getta.

W międzyczasie Gina zaszła w ciążę. Ze względu na komplikacje sercowe zasięgałiśmy opinii różnych lekarzy. Jedni byli za utrzymaniem ciąży, inni przeciwko. W końcu zdecydowała opinia wrocławskiego profesora, Krzysztoporskiego. 19-go maja 1951-go roku, w tej samej klinice uniwersyteckiej w której dwa lata temu Jerzyk się urodził - przyszła na świat nasza córka, Ludmiła, tym razem w pełni donoszona, bez potrzeby inkubatora. Oczywiście, nie obyło się bez komplikacji sercowych u Giny.

Ja w międzyczasie przygotowałem nasze nowe mieszkanie w Warszawie na przyjęcie całej trójcy. Mieszkanie było na trochę wyższym parterze – tylko kilka schodów - właśnie ze względu na dolegliwości sercowe Giny. Sąsiedzkie otoczenie było dosyć przyjemne; dużo znajomych współpracowników. Na tym samym poziomie co nasz, mieszkał tzw. gospodarz kolonii, według przedwojennej nomenklatury - stróż, z trójką dzieci; bardzo przyzwoici ludzie.

Duży problem, w późniejszym czasie, mieliśmy natomiast z lokatorką mieszkania – kawalerki bezpośrednio przyległego do naszego mieszkania (mieliśmy wspólną ścianę). Pod naszym i jej oknem stała ławka na której dzieci się bawiły. Dzieci, jak dzieci, zawsze są hałaśliwe. Nam to nie przeszkadzało. Jej natomiast to przeszkadzało i to nawet bardzo, bo nigdy nie miała dzieci (chyba też i męża). Nasze dzieci dorastały. Jerzyk już samodzielnie się bawił z innymi dziećmi z podwórka, a było ich dużo. Ludka jeszcze była malutka i na nią trzeba było uważać.

Pewnego dnia doszło do wybuchu. Sąsiadka z kawalerki otworzyła swoje okno zaczęła obrzucać różnymi epitetami ogół dzieci, na co nie zwracałem szczególnej uwagi. W końcu dostrzegła naszego Jerzyka i na nim skoncentrowała całą wściekłość. Co mnie jednak ruszyło i nad czym nie mogłem i nie chciałem przejść do porządku dziennego kiedy usłyszałem: ty żydzisko ! Marsz do swojej Palestyny ! Widocznie musiała w tym zasmakować i rozkoszować się. Zaczęło się to powtarzać i to coraz częściej i przy byle okazji. Wystarczyło, że zobaczyła Jerzyka nawet z daleka, momentalnie wpadała w furję i wyrzucała z siebie stek wyzwisk o wiadomym charakterze. Postanowiłem nie puścić jej tego płazem. Sam wzięłem na siebie rolę adwokata. Do słownych ekscesów doszło stukanie butelką w ścianę i to w późnych godzinach nocnych - między dwunastą a drugą. Pisałem do różnych czynników – zawsze bez skutku. W końcu złożyłem oficjalną, pisemną skargę do sądu. Na tej podstawie otrzymałem dostęp do jej akt, bo już kiedyś miała sprawę za pobicie rurką gazową swojego byłego amanta po tym gdy ten postanowił z nią zerwać. W aktach znalazłem m.in. orzeczenie komisji psychiatrycznej, która określiła ją jako schizofreniczkę z nerwicą psychoreaktywną. W końcu udało mi się doprowadzić

do rozprawy w Sądzie Okręgowym i to z paragrafu za obrazę na tle przynależności narodowej, religijnej i jeszcze tam czegoś. Tego nawet ona sama nie mogła sobie przedstawić, że zdołam doprowadzić do rozprawy sądowej. Przez okno również do mnie krzyczała: ty Żydzie, wynoś się do swojej Palestyny; gównu mi zrobisz, ja jestem Rokossowska (tak rzeczywiście się nazywała, a nazwisko to w owym czasie było dosyć groźne, ja jednak się nie ulęknęłam). Moim głównym świadkiem był właśnie ten mój sąsiad, Kałuża, gospodarz kolonii. Sąsiad, Żyd, który był świadkiem jej ekscesów, świadczyć w sądzie nie chciał. Może się bał? Kto go tam wie?

Na rozprawie zachowywała się rzeczywiście jak nienormalna. Jednym z argumentów którym chciała wziąć sąd było, że w czasie okupacji wiedziała, że za ścianą jej mieszkania ukrywa się warszawski redaktor, Żyd, (nazwiska nie zapamiętałam), i ona nie poszła na Gestapo zadenuncjować go. Przypomniało mi to wydane po wojnie wspomnienie okupacyjne znanego przed i po wojnie kompozytora warszawskiego, Władysława Szpilmana. Przytacza on następujące wydarzenie: po kilku dniach po wyzwoleniu Warszawy, kiedy pierwszy raz wyszedł z kryjówki przystąpił do niego zupełnie nieznany mu osobnik i powiedział: panie Szpilman, pan mnie nie zna i nawet nie wie, że ja panu życie uratowałem w czasie okupacji; ja wiedziałem gdzie się pan ukrywa i nikomu nic o tym nie powiedziałem. Wprawdzie w Polsce okupacji nie przeżywałem, ale doskonale zdawałem sobie sprawę co to oznaczało. Widocznie takie były wtedy czasy, że ażeby pozostać uczciwym człowiekiem wystarczyło wiedzieć o jakimś ukrywającym się Żydzie i nie pójść zameldować o tym gdzie trzeba i w nagrodę dostać butelkę wódki i kilo cukru. Dzikie i nieludzkie to były czasy. Takie były kryteria porządności w tym ciemnym okresie. Mimo wszystko, generalizowanie tego rodzaju faktów byłoby niesprawiedliwe i niesłuszne. Przecież nie wyrzutki i męty społeczne świadczą o rzetelności narodu. Podczas przerwy podeszła do mnie sędzina, sympatyczna i kulturalna kobieta ze słowami: panie Shrayer, od przeszło 10-u lat w tym sądzie nie było sprawy z tego paragrafu; jak panu się to udało? Nie wiedziałem czy mam się unieść "dumą" czy też smutkiem. Odpowiedzi nie znalazłem. Pani sędzina pokiwała głową ze zrozumieniem i odeszła. Podeszedł do mnie również adwokat oskarżonej próbując wykrzesać ze mnie iskrę litości: przecież widzi pan, ona jest chorą, nieszczęśliwą kobietą; popatrzyłem na niego, tylko innym wzrokiem aniżeli na sędzinę i nie dałem odpowiedzi. Pomyślałem sobie w duchu: trzeba było ją widzieć wtedy, kiedy ziała ślepą nienawiścią.

W tym dniu wyroku nie ogłoszono, natomiast sąd zarządził sześciotygodniowe badanie w szpitalu psychiatrycznym w Tworkach pod Warszawą. Tego widocznie musiała się najbardziej obawiać, bo zaczęła histerycznie krzyczeć: tylko nie to! tylko nie to! Wyjaśniono mi później, że tego rodzaju badania są bardzo przykre i niezwykle uciążliwe. Ona widocznie знаła to z poprzedniej sprawy i już samo to stanowiło niemałą karę. W ogłoszeniu wyroku nie uczestniczyłem. Miałem już tego wszystkiego po dziurki od nosa. Poczta otrzymałem postanowienie sądu, że Krystyna Rokossowska została skazana na 6 miesięcy więzienia z zawieszeniem na dwa lata i eksmisję z mieszkania na Dzielnej, z jednoczesnym zobowiązaniem warszawskich władz kwaterunkowych do przydzielenia jej mieszkania zastępczego. Niedługo wzięła ta zamiana. Przydzielono jej mieszkanie-kawalerkę w jednym z nowych bloków w Alejach Jerozolimskich, dużo lepsze od tego na Dzielnej. Mnie to przestało interesować. Ja nie szukałem zemsty tylko spokoju dla swojej rodziny. Na zakończenie tej nadzwyczaj przykrej dla mnie historii – ciekawostka. Kilka lat później, już po studiach, pracowałem w nowo utworzonym Zjednoczeniu Budowy Aparatury Chemicznej i wydział kadr poszukiwał dla mojego wydziału pracownicę biurową. Do mojego pokoju weszła kierowniczką kadr z poważną miną i z papierem w ręku: panie inżynierze, ta kandydatka na pewno będzie panu odpowiadała (ta pani kadrowa znała tę moją "epopeję"). Oniemiałem i oczom nie wierzyłem – K.Rokossowska była właśnie tą "odpowiednią" kandydatką. Poprosiłem panią kierowniczkę ażeby tylko powiedziała tej kandydatce, że naczelnikiem tego wydziału jest pan Shrayer. Ta usłyszawszy tylko moje nazwisko wyleciała jak z procy zostawiając nawet to swoje podanie. Życie czasami również fikuśne płata figle.

Centralny Zarząd działał na pełnych obrotach. Paweł N. był i młody i energiczny. Miał w sobie "menadżerskie" zacięcie. Był bardzo wymagający. Dokooptywano wciąż nowe zakłady, o czym już wspominałem; również nowych ludzi przybywało coraz więcej. C.Z. posiadał priorytet jeżeli chodzi o angażowanie absolwentów wyższych uczelni. Wielu z tych młodych ludzi przyciągała nie tylko ciekawa praca, ale również i perspektywa szybkiego otrzymania mieszkania zarówno w Warszawie jak i przyzakładowym budownictwie. P.W.P. w Pionkach w tym czasie była jedynym zakładem w pełni nastawionym na produkcję wojskową (prochy nitroglicerynowe i nitrocelulozowe). Inne zakłady, a w szczególności te śląskie miały w dalszym ciągu zaspokajać wciąż rosnące potrzeby górnictwa węglowego. Intensywnie postępowało wznowienie i ukończenie rozpoczętej przed wojną budowy zakładu w Krajewicach koło Jasła o podobnym profilu jak Pionki. Kotłownia, serce tego zakładu, była w tunelu wrytym w górze Gamrat. Brakowało tylko kotłów. Zapadła decyzja zainstalowania w tym zakładzie kotłów okrętowych z niedawno wydobytego niemieckiego pancernika "Gneisenau". Wydelegowano mnie z jeszcze jednym kolegą, Heniem B. do Gdyni dla stwierdzenia postępu demontażu i przygotowania dla przetransportowania ich do Krajewic.

Największym obiektem inwestycyjnym w naszym C.Z.-cie miały być zakłady w Łęgowie koło Bydgoszczy. Niemcy je wybudowali i w rekordowo krótkim czasie uruchomili. Zakłady te dostarczały ogromne ilości materiałów wybuchowych dla maszyny wojennej III-ej Rzeszy. Budowę tych zakładów w lasach bydgoskich Niemcy rozpoczęli od razu po zajęciu tych terenów w 39 roku. Do tego celu użyli więźniów z różnych obozów koncentracyjnych, w tym dużą ilość Żydów. Po ukończeniu budowy wszystkich Żydów rozstrzelano. Opowiadał mi o tym bydgoszczanin (Runke się nazywał) którego Niemcy zatrudniali przy budowie i który później, po wojnie, pracował w naszym zakładzie. Dziwny człowiek był ten Runke. Robił wrażenie mentalnie niezrównoważonego, jakkolwiek doskonale się orientował w dokumentacji technicznej pozostałej po Niemcach. Czuło się, że za tamtych czasów musiał być blisko tych spraw. Polak czy Niemiec? Kto go tam wie? W Bydgoszczy podobno wielu było takich jak on. Widocznie się czegoś bał - oczy rozbiegane, zawsze jak coś opowiadał, rozglądał się na wszystkie strony. Kierownictwo zakładu uważało, że jest nosicielem wielu informacji i że nie wszystko ujawnia. Dlaczego? Mnie się wydawało, że jest pod nieustającą presją bezpieczeństwa. Musieli mieć na niego jakiś okupacyjny "hak". Co się w końcu z nim stało? Nie wiem.

Według pozostawionej dokumentacji ponemieckiej zakłady te nosiły nazwę N.A.G. – Nobel Aktion Geselschft. Były czynne do końca wojny i co ciekawe – nigdy nie były obiektem bombardowań lotnictwa alianckiego. Widocznie musieli tam mieć swoje udziały. Niemcy pozostawili te zakłady prawie że nietknięte. Dopiero po zajęciu przez sowieckie wojska, zaczęto je demontować i wywozić w głąb Rosji. Dlaczego? Przecież Bydgoszcz to była Polska przed wojną i po wojnie. Sowietci twierdzili, że to są trofea wojenne i jako takie do nich i tylko do nich należą. Nikt się nie śmiał sprzeciwić. A prawa tzw. państwa sojuszniczego jakim była Polska? Nic z tych rzeczy. Prawo to oni. Zostawili tylko to czego nie mogli zdemontować. A było tego bardzo niewiele.

Zaczęliśmy więc uzupełniać dokumentację techniczną na podstawie tego co Niemcy zostawili i Sowietci nie zdążyli zabrać. Zostało stworzone specjalne biuro projektowe w Warszawie, które się tym zajęło. Zamawiano urządzenia i aparaturę gdzie się tylko dało – w polskich fabrykach i za granicą a w szczególności w N.R.D. – Niemieckiej Republice Demokratycznej.

W tym czasie jeździłem do Niemiec – wprawdzie w celu ulokowania zamówień a później dla kontroli postępu wykonania. Wszystko było do tego stopnia bezsensownie utajnione, tak gdyby każdy dokument przed przeczytaniem należało spalić. Moje wyjazdy trwały po 3 i 4 tygodnie. W czasie każdego pobytu objeżdżałem wszystkich najważniejszych dostawców. Z każdego pobytu zobowiązany byłem przedstawić szczegółowy raport oddzielnie dla każdej zamówionej pozycji. Moją główną bazą wypadową był Berlin - wówczas jeszcze bez muru; miasto niebezpieczne. Ze względu na tajność, nie wolno mi było mieszkać w hotelu. Z Warszawy

zostało załatwione, że ambasada zapewni mi locum w swoim budynku na Karlsplatz.. Do zachodniego Berlina miałem, absolutny zakaz chodzenia. Bywały wypadki porywań, a konsekwencje stąd wynikające można sobie było wyobrazić.

Nie wolno mi było zapominać, że w domu została żona z dwojgiem dzieci. Widocznie w takim wieku ryzyko i ciekawość bierze górę nad rozsądkiem i ostrożnością. A bardzo byłem ciekaw jak wygląda ten “zgniły” zachód, bo wschodni Berlin zdołałem poznać na wylot - wzdłuż i wszerz. Chciałem też kupić kilka rzeczy których na wschodzie nie można było dostać.

W gmachu ambasady, obok mojego pokoju mieszkała rodzina pewnego bardzo ważnego pracownika ambasady. Żona tego pracownika zaofiarowała się pojechać ze mną do zachodniego Berlina. Miałem wprawdzie wielkiego pietra, ale jednak zdecydowałem się. Na dworcu Fridrichstrasse wykupiliśmy bilety w te i we wte na “S” Bahn do Bahnhof ZOO, najbliższej stacji od Kurfürstendam, najbardziej ekskluzywnego centrum zachodniego Berlina. Załatwiliśmy wszystko jak było zaplanowane i bez przygód wróciliśmy do ambasady. Można sobie wyobrazić moje uczucie odprężenia i zadowolenia. Nie tyle z dokonanych zakupów, ile szczęśliwego powrotu. W każdą sobotę wieczór ambasada urządzała wieczorki towarzyskie z udziałem wszystkich polskich placówek i agencji urzędujących w obu częściach Berlina. Ambasadorem wtedy był Jan Izydoczyk. Bawiono się dobrze, jedzenie było dobre – i to w tym samym czasie kiedy kraj borykał się z dużymi trudnościami aprowizacyjnymi. Jeden z wieczorów Sylwestrowych spędziłem w Berlinie i to w tym samym dniu kiedy miałem wypadek samochodowy między Stassfurtem i Halle Under Saale. Cudem uszedłem z życiem. W każdym z większych miast N.R.D. mieliśmy ulokowane nasze zamówienia. Przeprowadzałem długie rozmowy, oczywiście służbowe z dyrektorami tych fabryk i w myślach każdego z nich “wymacywałem” czym on był i co robił w czasie wojny. Bo co dobrego Niemiec mógł wtedy robić ? Większość z nich miała przygotowaną historyjkę, jak to oni pomagali Żydom za czasów Hitlera.

Jednemu z nich palnąłem, że z tych wszystkich opowiadań wynika, że Niemcy uratowali co najmniej 150 milionów Żydów. W jaki sposób ? Zwykły algebraiczny. Niemców było 50 milionów, z opowiadań wychodzi, że każdy uratował co najmniej 3 Żydów, co pomnożone na 50 milionów daje w sumie 150 milionów. Mówili, że to dobry wic; a mnie wcale nie było do wiców. Z Niemiec zawsze przywoziłem dużo prezentów. Markowe diety były dosyć przyzwoite, za hotel płacić nie musiałem, a w odwiedzanych fabrykach częstowano mnie obiadem - stąd zawsze mogłem zaoszczędzić trochę marek. Przeciętnemu Niemcowi w tym czasie powodziło się dużo lepiej aniżeli Polakowi. Cóż, widocznie na to trzeba było wojnę przegrać.

W kraju miałem zawsze dużo wyjazdów w teren tak, że wiele czasu spędzałem poza domem. Do zakresu moich obowiązków służbowych należała też lokalizacja nowych zakładów. Ze względu na specyfikę naszej produkcji, zakłady musiały być lokalizowane w lasach, zdala od osiedli mieszkaniowych. W tym względzie brano pod uwagę Puszcę Białowieską, Bieszczady, Puszcę Niepołomicką, okolice jezior Augustowskich, Lasy Parczewskie. W teren wyjeżdżała ekipa zadaniem której było wstępne zapoznanie się z terenem, możliwością zaopatrzenia w wodę, odległości od linii energetycznych, trakcji kolejowych, problem ścieków (dziś to się nazywa ekologią), możliwości korzystania z miejscowych rezerw jako siłę roboczą itp.

Opracowany na tej podstawie elaborat przedkładany był czynnikom rządowym (tzw. Mincówce czyli P.K.P.G.) Później ukazywała się uchwała Prezydium Rządu (oczywiście tajna) dla rzeczonyj realizacji w terenie. Że te dane można było uzyskać z przedwojennych statystyk, map-sztabówek itp. ? Możliwe, że częściowo tylko, bo nie było wiadomo czego Niemcy nie zdołali zniszczyć i co pozostało. Widocznie ówczesne władze, działając pod naciskiem doradców sowieckich, wolały oprzeć się na danych faktograficznych, bardziej wiarygodnych i lepiej dla nich strawnych. W tym okresie, na niektórych wspomnianych terenach dotąd jeszcze działały oddziały leśne-polskie (N.S.Z.) i ukraińskie (U.P.A.). W takich wypadkach miejscowe służby bezpieczeństwa zobowiązane były dawać nam odpowiednią obstawę. Z tego co zapamiętałem, na podstawie naszych danych wybudowano w lasach Puszczy Białowieskiej duży zakład elaboracji

amunicji dla którego pełną dokumentację techniczną opracowało specjalne moskiewskie biuro projektowe.

Kilka zdań o ekspertach (doradcach) sowieckich. W każdym resorcie, na każdym szczeblu można ich było spotkać. Szczególnie dużo ich było w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego gdzie szczebel dochodził do ogniw powiatu. Ich zdanie czy opinia były zawsze decydujące. Kierownictwa na każdym szczeblu, włączając ministrów, musiały się nie tylko z tym liczyć ale też skrupulatnie wypełniać. Zachowywali się jak uzurpatorzy, namiestnicy. Na naszym największym zakładzie, w Łęgowie, był taki ćwierć inteligent, daleki nawet od średniej klasy specjalistów, ekspert. Nic na zakładzie nie uchodziło jego uwadze. Wszędzie wtykał swój, zawsze zapijaczony, czerwony nos. Z każdym, najmniejszym nawet problemem produkcyjnym dyrektor latał do niego. Do tego wszystkiego jeszcze okazał się smakoszem kulinarnym. W stółce zakładowej specjal-kucharz przygotowywał potrawy tylko dla niego.

Pod koniec 52-go roku miał miejsce wybuch jednego z reaktorów T.N.T. Zginęło wtedy kilkudziesięciu robotników. Prokuratura wojskowa wszczęła śledztwo. Na ławie oskarżonych zasiedli (jeszcze wtedy z tzw. wolnej stopy) dyrektor naczelny Centralnego Zarządu Paweł N., naczelny inżynier C.Z.-u Zdzisław L., dyrektor Łęgowskiego zakładu Jerzy O., główny inżynier zakładu Zbigniew S., a dla okraszy tego "festiwalu" czarownic dodano jeszcze dwóch robotników – mistrza zmianowego i jego pomocnika. Rozprawę przeprowadzono na terenie zakładu jako tzw. "pokazówkę". Trwała ona ileś tam dni (nie pamiętam ile). Zapamiętałem nazwisko prokuratora wojskowego – pułkownik Frenkel. Wszyscu oskarżeni oczywiście "przyznali" się do niepopelnionej winy i potwierdzili wszystkie zarzuty postawione przez prokuratora. Jakże tam mogły być te zarzuty? Tego rodzaju nieszczęśliwe (bo tylko tak to można było nazwać) wypadki w tym przemyśle zdarzały się; notowała to światwa literatura fachowa tylko, że nie prokurator wojskowy bywał arbitrem w takich wypadkach, a uczeni i fachowcy i to w celu wyjaśnienia przyczyn i wyciągnięcia obiektywnych konkluzji mających na celu sprowadzenie do możliwego minimum tego rodzaju wypadków w przyszłości. Stuprocentowego zabezpieczenia nie tylko, że nie ma, ale i być nie może. Ostatecznie, w tego rodzaju zakładach nie produkuje się czekoladę albo chałwę, tylko materiały wybuchowe. Przy produkcji czekolady i chałwy również zdarzają się nieszczęśliwe wypadki tylko, że nie z tak fatalnymi skutkami.

W wyniku tej Łęgowskiej farsy sądowej obaj dyrektorzy Centralnego Zarządu zostali skazani na 3 lata więzienia każdy. Chyba tyle samo a może i trochę mniej "zafasowali" obaj dyrektorzy zakładu. Bardziej "litościwie" potraktowano tych dwóch przedstawicieli tzw. Klasy robotniczej (nie przypominam sobie ile i co dostali). Jako dodatek "moralny" do kary "kryminalnej" głównym oskarżonym odebrano legitymacje partyjne. W tym wypadku najbardziej "pokrzywdzony" był główny inżynier zakładu Zbigniew S., któremu nie było co odbierać, bo do partii nigdy przedtem (a chyba i potem) nie należał. Szalenie sympatyczny był ten Zbigniew S. – wysokiej klasy inżynier chemik i znakomity fachowiec w dziedzinie materiałów wybuchowych. Poza tym był świetnym kompanem do kielicha.

Niedługo przyszło im beczynnienie siedzieć w więzieniu. Na najwyższym szczeblu zapadła decyzja na podstawie której wszyscy oskarżeni mieli odbywać swoje kary na terenie różnych zakładów naszego Centralnego Zarządu; mieli oni pełnić funkcje doradców do spraw produkcji i inwestycji. Najbardziej wygrani byli dyrektorzy tych zakładów, bo zyskali doradców co się zowie. Ograniczenia polegały na tym, że nie wolno było im opuszczać zakładu, a żony – dla odwiedzenia mężów musiały za każdym razem otrzymać zezwolenie prokuratury wojskowej. Jeżeli chodzi o resortowego wiceministra nadzorującego wojskowy przemysł chemiczny, Karola Akermana, to w kilka dni po procesie w centralnej gazecie "Trybuna Ludu" ukazała się notka, że K.Akerman został odwołany ze stanowiska podsekretarza stanu w ministerstwie przemysłu chemicznego za niewywiązywanie się z nałożonych obowiązków służbowych. W tym mniej więcej czasie w Moskwie głośna była afera kremlofskich lekarzy – "Żydów trucicieli" i w pełnym rozgarze szła kampania przeciwko tzw. "bezrodnym kosmopolitom" (oczywiście tylko o Żydów chodziło). Przyjaciele Akermana mówili mu, że z tej

całej afery jeszcze dobrze wyszedł, bo mogło to się dużo gorzej skończyć dla niego. On przecież należał do tej samej "rasy" co ci kremlowscy lekarze. Prasa polska w tej sprawie specjalnie się nie angażowała, oprócz miesięcznika "Nowe Drogi", organu komitetu centralnego partii. Ukazał się tam artykuł niejakiego M. Mirskiego, nota bene Żyda, zatytułowany "Mordercy w Białych Chałatach". Cóż, nie pierwszy przecież raz w historii Żydzi spełniali rolę tzw. "Szabes Gojów" dla nie-Żydów, przeciwko nacji z kórej sami się wywodzili.

O sprawie Łęgowskiej prasa polska słowem nie wspomniała. Niedługo po procesie biuro polityczne partii wydało specjalną, ściśle tajną uchwałę w sprawie Łęgowskiej.

Mój bezpośredni przełożony Centralnym Zarządzie Dyrektor inwestycji, Jan G., jakimś cudem wywinął się z tej sprawy. Według tego co sam twierdził (on, ale nie ja) uratowało go to, że z punktu widzenia inwestycji obiekt nie został formalnie przekazany do eksploatacji i na to wszystko miał niezbite dokumenty przygotowywanie których należało do moich obowiązków służbowych. (Chyba zawsze byłem trochę papierkowym biurokratą). Może nie tyle zaważyły te dokumenty które on przedstawił śledztwu (w pierwszym okresie on również był badany jako podejrzany) ile to, że tamci wszyscy oskarżeni żadnych dokumentów nie przedstawili, bo takowych ich podwładni im nie przygotowali. Im się bardzo spieszyło, bo całe najwyższe kierownictwo siedziało im na karku i naciskało: nuże, kiedyż wreszcie zaczniecie produkować? Dla nich nie dokumenty były ważne, a produkcja. Prokurator wojskowy musiał widocznie też być trochę biurokratą i może też dlatego Jana G. wyłączył z tej sprawy. W związku z tą Łęgowską sprawą wybiegłem trochę naprzód, teraz więc wracam do normalnego biegu wydarzeń.

W naszym Centralnym Zjednoczeniu pracowało wielu przedwojennych fachowców z przemysłu zbrojeniowego. Były różnego rodzaju naciski ze strony tzw. organów, że niby jak to, oni są przecież przeciwko tej władzy (a dlaczego mieli być za?) i temu podobne bzdurne zarzuty. Paweł N. i tylko on potrafił się temu oprzeć. Miał przecież za sobą te przedwojenne, bereziackie koneksje na samej, najwyższej górze i tych pomniejszych piesków się nie bał. Dobrze wiedział, że bez tych starych specjalistów wypełnienie tych bardzo napiętych planów produkcyjnych będzie trudne do przeprowadzenia. On dawał za nich osobistą porękę (trochę podobne do tego co kiedyś dawał za niego Mikołku Bożyk, o czym już wcześniej wspomniałem). Ci ludzie lojalnie pracowali i to wcale nie z miłości do obecnego reżimu, co było oczywiste. W ich pojęciu pracowali dla Polski, bo taka czy inna, ta Polska nie przestawała być ich Ojczyzną. Z tego sobie zdawał sprawę Paweł N. Jasne, że go nie kochali, ale, że go szanowali – to fakt i wiedzieli, że na nim można polegać, że w razie czego on się za nimi wstawi i ich nie opuści. Ze swojej strony Paweł N., tak zresztą jak oni jego nie musiał ich kochać, ale wiedział, że na nich może polegać we wszystkim co się týczyło produkcji, za którą w pierwszym rządzie on był odpowiedzialny. W tym względzie istniał swego rodzaju "konkordat" który można byłoby porównać do małżeństwa nie tyle z miłości ile z rozsądku.

Urlopy moja rodzina zazwyczaj spędzała w przyzakładowych osiedlach naszych zakładów, czy to w Sarzynie czy też w Augustowie lub gdzie indziej. Nasze zakłady były przecież położone w lasach, czasami nad rzeczką lub jeziorem. Dobre powietrze, ładna przyroda, lasy pełne grzybów i jagód. Najbardziej mi się zapamiętał Augustów. W tej okolicy, w dawnych koszarach, w których przed wojną stacjonował I-y Pułk Ułanów Krechowieckich ostatnim dowódcą którego przed wojną podobno był, podówczas pułkownik a w późniejszym generał i dowódca wojsk polskich na zachodzie - Władysław Anders.

Właśnie tam mieliśmy jeden z naszych zakładów. Nie tak daleko stamtąd, bezpośrednio nad Jeziorami Augustowskimi był przedwojenny oficerski jacht klub. W jakiś sposób był on administracyjnie związany z Augustowskim zakładem. Gina z dziećmi spędzała tam lato. Ja od czasu do czasu dojeżdżałem. O uroku Augustowskich Jezior nikogo nie trzeba było przekonywać. Kto mie był - jego strata, a kto był ten nie zapomniał.

Po powrocie z jednego z urlopów, w 1954-ym roku, postanowiłem zacząć coś robić w kierunku mojego, dosyć ubożego wykształcenia. Matury nie miałem, świadectwa z drohobyckiej szkoły technicznej z 41-go roku zostały w Drohobyczu i zaginęły wraz z naszym

domem, ojcem i resztą rodziny. Dowiedziałem się, że dla takich jak ja i mnie podobnych Ministerstwo Szkół Wyższych organizuje jednoroczne kursy przygotowawcze upoważniające do przyjęcia na studia do szkół wyższych. Okazało się, że za późno się wybrałem i że nauka na tych kursach rozpoczęła się kilka dni temu. Jeżeli chcę, to mogą mnie wpisać na listę kursantów, ale na przyszły rok. Tyle już lat mi uciekło i czekać na przyszły rok? Nie mogłem się z tym pogodzić. Jak szalony zacząłem szukać możliwości dostania się jeszcze na ten rok. Przypomniałem sobie, że przed wojną miałem kolegę z lat dziecińczych K.G., który po wojnie zrobił doktorat z tzw. dziedziny nauk społecznych i jest wykładowcą w wyższej szkole partyjnej. Natychmiast do niego zadzwoniłem i przez telefon opowiedziałem mu o mojej biedzie. Od razu kazał mi przyjść. Zaczęło się szukanie – gdzie uderzyć i ze skutkiem. On miał duże chody, bo wielu absolwentów tejże szkoły zajmowało bardzo eksponowane stanowiska w hierarchii państwowej. Udało mu się załatwić przyjęcie mnie na rozmowę u dyrektora (dyrektorki) departamentu studiów przygotowawczych w Ministerstwie Szkół Wyższych. Była to chudziutka pani, niedużego wzrostu z melancholijnym wyrazem oczu – Bronisława Skrzyszewska – żona ówczesnego Ministra Spraw Zagranicznych, Stanisława Skrzyszewskiego. Również ona zaczęła się dopytywać o papiery, których nie miałem. Początkowo była bardzo sceptyczna czy uda się coś zrobić. Nie wiem czym się kierowała – czy moim błagalnym spojrzeniem czy też nagle zapalną chęcią do nauki. Dość, że zaważwała dwóch egzaminatorów którzy na miejscu urządzili mi ad hoc egzamin z matematyki, widocznie z dostatecznym wynikiem i na tej podstawie pani dyrektor wystawiła mi skierowanie na rozpoczęty kilka dni temu kurs przygotowawczy. Powiedziała przy tym, że jeżeli dyrektor kursu będzie miał jakieś wątpliwości to żeby do niej zadzwonił. Od razu stamtąd poleciałem do tej szkoły gdzie się te kursy odbywały, zgłosiłem się do dyrektora i oddałem mu skierowanie. Do pani dyrektor nie zadzwonił, ale przestraszył mnie, że wszystko zależeć będzie ode mnie i żadne taryfy ulgowe na tym kursie nie są brane pod uwagę. Co tydzień odbywają się bardzo rygorystyczne selekcje i nie nadążający są natychmiast relegowani z kursu. Nauka trwa 6 dni w tygodniu od 2-iej po południu do 9-iej wieczór. Żadne absencje włączając chorobowe nie są uznawane. Po tej tyradzie którą wysłuchałem na stojąco i w milczeniu i ponownym przypatrzeniu się jakie to na mnie wywarło wrażenie – wprowadził mnie do klasy gdzie jak raz miał lekcję matematyki wykładowca a może kierownik kursu, ze słowami: panie kolego, to jest nowy kursant, ma kilka dni opóźnienia które będzie musiał nadrobić w ciągu tygodnia. O wynikach proszę mnie poinformować za siedem dni i wtedy ostatecznie zadecydujemy. Wszystko odbyło się tak błyskawicznie, że sam nie mogłem w to uwierzyć. Zostałem słuchaczem kursu przygotowawczego.

Do domu wróciłem trochę oszołomiony. Z przejęciem opowiedziałem Ginie co zaszło w tym dniu. Z wyrazu jej twarzy mogłem wyczytać, że zdaje sobie sprawę jakie trudności ją czekają. Byłem przekonany, że ona zrobi wszystko co możliwe i niemożliwe ażebym wytrwał, a znałem też wypadki, że żony się nie zgadzały; one chciały mieć mężów na codzień, a nie tylko na niedzielę i święta (tak im się tylko wydawało, bo również niedziele i święta nie wchodziły w rachubę). Mądra i dobra była ta moja Gina.

Nazajutrz, z samego rana zgłosiłem się do mojego bezpośredniego dyrektora i opowiedziałem mu o moim postanowieniu. Dyrektor wysłuchał mnie, możliwe, że z pewnym powątpiewaniem, ale zgodę wyraził – pod warunkiem, że moja praca i obowiązki nie mogą na tym ucierpieć; a jak to zrobić – to wyłącznie moja w tym głowa.. Skończyły się wyjazdy za granicę i wyjazdy w teren. Od razu z pracy pojechałem do nowej szkoły. Starosta kursu wyznaczył mi stałe miejsce.

I tak zaczęło się 6 (sześć) ciężkich i niełatwych lat (1 rok studium przygotowawczego, 5 lat czyli 10 semestrów studiów właściwych) i po tym jeszcze prawie rok na przygotowanie projektu dyplomowego i jego obronę. Te lata były ciężkie i niełatwe dla mnie, ale przede wszystkim dla całej mojej rodziny. Było to nowo utworzone studium wieczorowe przy Politechnice Warszawskiej. Tylko niezwykle samozaparcie pozwalało wytrwać. Odpadali wcale nie ci gorsi i starsi wiekiem, a właśnie ci młodszy którym samozaparcia nie starczyło. Do

studiowania w takich warunkach trzeba było mieć tzw. "Sitz Flajsz" czyli kamienny zadek – jak kto woli. Ci młodszy pojęcia nie mieli co to wogóle znaczy; im szybko robiły się nagniotki na tyłku. Ci starsi na tym zęby zjedli. Dla zdania egzaminu nie zawsze wystarczyło tylko "wykucie" przedmiotu. Egzaminy trzeba umieć zdawać, nawet gdy nie "chwyciło" za pierwszym, drugim i czasem za trzecim razem. Tym młodym nie zawsze starczało cierpliwości i wytrzymałości. Ci starsi zawsze ją mieli, bo mieć musieli, na nich czekały ich żony i dzieci – kiedy wreszcie ich męki, bo dla nich przede wszystkim to były męki – się skończą i nastaną jaśniejsze, radosne rodzinne dni.

W kilku zdaniach chciałem powrócić do Pawła N. Po paru latach zdjęto z niego karalność, zwrócono ten bez ceny (moja trawestacja słowa "bezcenny") bilet partyjny i dano mu inny Centralny Zarząd w M.P.Chem., ale już nie z takim priorytetem ważności jak ten poprzedni. W międzyczasie nasz Centralny Zarząd otrzymał nowego naczelnego dyrektora, Janusza W., o wiele młodszego i wiekiem i doświadczeniem, ale za to o całe niebo przystojniejszego (w Ameryce to bywa ważny atut – "good looking" – ale w Polsce ?) z aparycją hollywoodzkiewgo amanta. Swoje rządy zaczął od cichego odsuwania ludzi sprawnych w pracy, ale poprzednio bliskich Pawłowi N. Przy tym wszystkim był bojaźliwy. Później się trochę "wyrobił" i w kilka lat potem zaszedł nawet bardzo wysoko, bo został jednym z zastępców Przewodniczącego P.K.P.G., a jeszcze później spadł z tego szczytu i to z bardzo bolesnym skutkiem – przeniesiono go do Ministerstwa Lasów Państwowych i podobno mianowano Głównym Łowczym. Jego poprzednia tchórzliwość polegała na tym, że każdy podpisany przez niego dokument musiał być bsygnowany co najmniej przez 4-5 osób. Że to nic złego? Może być, ale nie w tej formie i z tą intencją. Złośliwcy określili ten system R.W.D. (Ratuj Własną Dupe). Miał przy tym dość dziwny zwyczaj – po lewej stronie jego biurka stała duża oszklona szafa zawsze wyczyszczona "na glanc", a po prawej stronie krzesło dla petentów. Podczas rozmowy, z kim by to nie było, cały czas lustrował siebie w odbiciu w tej właśnie szklanej szafie i stosownie do tego przysposabiał gestykulację i studiował samego siebie. Sprawiało to bardzo przykre wrażenie na petentach tak jak gdyby mówił nie do człowieka, siedzącego naprzeciwko, tylko do swego odbicia w lustrzanej szafie.. Ale co było robić? Widocznie nikt nigdy mu nie zwrócił na to uwagę. Cóż, każdy ma swego mola co go gryzie.

Ja przeniosłem się do pracy w biurze projektów, o piętro niżej w tym samym gmachu, w charakterze projektanta. Nowe środowisko, dowcipne i nawet sympatyczniejsze aniżeli na górze. Światopoglądowo raczej reakcyjne – jak to wtedy określano – i w pewnej mierze snobistyczne. Mnie to nie przeszkadzało; już dawno przestałem być świątobliwy. Z tym biurem byłem w ścisłym kontakcie od chwili jego utworzenia. Było ono całkowicie nastawione na przygotowywanie dokumentacji technicznej dla projektów inwestycyjnych realizowanych tylko przez zakłady naszego Centralnego Zarządu, ja zaś byłem kierownikiem wydziału dokumentacji technicznej w pionie inwestycyjnym C.Z.-u. Obecny kierownik wydziału mechanicznego do którego zostałem przydzielony i naczelnny inżynier biura odnosili się do mnie bardzo przyzwoicie a szczególnie ten ostatni, wysokiej klasy inżynier, przy tym bardzo przystojny (przypominał włoskiego amanta filmowego Vittorio Grossmana z filmu "Gorzki Ryż"). Pewnego razu zwierzył mi się, że naciskają na niego ażeby wstąpił do partii. Żal mi było tego sympatycznego człowieka, to był jednak warunek postępu w jego dalszej karierze zawodowej. Cóż mu mogłem poradzić? W końcu moja rada brzmiała bardzo filozoficznie: cokolwiek pan nie postanowi, później zawsze będzie pan żałował.

Z uwagi na moje studia, praca ta bardzo mi odpowiadała. Żadnych wyjazdów w teren, co w moim przypadku było bardzo istotne.

W tym miejscu pozwolę sobie na jeszcze jedną dygresję jeżeli chodzi o Pawła N. Polska atomistyka zaczynała nabierać rumieńców. Utworzono Instytut Badań Jądrowych (I.B.J.) i w jego ramach rozpoczęto w Świerku pod Warszawą budowę pierwszego polskiego reaktora atomowego któremu nadano piękne imię "Ewa". Pawła N. mianowano dyrektorem tego przedsięwzięcia. Po wybudowaniu i uruchomieniu "Ewy" Paweł N. otrzymał nominację na naczelnego dyrektora

gigantycznego kompleksu rafineryjno-petrochemicznego w Płocku nad Wisłą, łącznie z budową olbrzymiego osiedla mieszkaniowego dla przyszłej kilkudziesięcioletniej załogi budującego się kombinatu. W owym czasie była to największa inwestycja w Polsce. Również i z tego skomplikowanego zadania Paweł N. wywiązał się z pełnym sukcesem. Posypały się najwyższe odznaczenia państwowe przypinane przez samego Gomułkę. Oprócz Sztandaru Pracy (w ówczesnej Polsce najwyższe odznaczenie) Paweł N, dostał również zawalu serca, z czego nawet udało mu się wykaraskać.

Nadszedł pamiętny Czerwiec 1967-go roku (nas już wtedy w Polsce nie było) i to zwycięstwo małego Izraela nad wszystkimi do kupy wziętymi armiami arabskimi, zwycięstwo które wzbudziło podziw i zachwyt całego cywilizowanego świata w tym również i Polski, a szczególności polskich kół wojskowych. “Nu, nu i co wy powiecie ? Żydki biją Rusków !”. Nie, nie – nic z tych rzeczy, to wcale nie znaczyło, że Polacy tak nagle zaczęli kochać Żydów. Ten podziw i zachwyt miał swoje podłoże z poniżenia zadanego sowieckiej technice, sowieckiej strategii i taktyce stosowanej nieumiejętnie przez wszystkie armie arabskie.

Gomułka się pienieł, czemu dał wyraz w pamiętnym przemówieniu w Pałacu Kultury w którym całą ówczesną społeczność żydowską w Polsce nazwał “piątą kolumną” dając tym samym hasło do jadowitej i jawnej kampanii antysemityzmu państwowego. Motłochowi i szumowinom wszelkiej maści nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Oni dobrze wiedzieli co mają robić.

Pawła N. zawezwał minister przemysłu chemicznego i w grzeczny sposób zaproponował mu, rzekomo w trosce o jego zdrowie ażeby złożył rezygnację ze stanowiska naczelnego dyrektora płockiego kombinatu. To wcale nie była propozycja, to była z góry powzięta decyzja.

Niedługo po tym Paweł N. opuścił Polskę, wyjechał do N.R.F. i osiedlił się w Ofenbachu, pod Frankfurtem nad Menem. Ten afront, niegodziwość i niewdzięczność były przyczyną szybko postępującej choroby Parkinsona. Wkrótce po tym zmarł. Pochowano go na żydowskim cmentarzu we Frankfurcie. W ten sposób zakończyła się smutna epopea człowieka, który większość swego życia i całe zdrowie poświęcił niesłusznej sprawie.

Wracając do naszego pobytu w Polsce i naszych spraw. Przyszedł Październik 1956-go roku. Stalin już trzy lata nie żył. Okres spędzony w mauzoleum obok Lenina był stosunkowo krótki. Po sławetnym przemówieniu Chruszczowa na XX-ym zjeździe sowieckiej partii wyeksmitowano go (Stalina) do cmentarzyka obok mauzoleum i przykryto ciężką, czarną, marmurową płytą z napisem J.Stalin i datami urodzenia i śmierci. Ani słowa więcej. Złośliwi dowcipnisie wymyślili, że ta ciężka płyta jest po to, że anuż kiedyś zechce mu się wyleźć spod ziemi. Nowy sowiecki władca, Chruszczow, widocznie musiał wierzyć w przesady, bo jak powiadają, ta ciężka płyta to był jego pomysłu. Podczas jednego z moich pobytów w Moskwie po 60-ym roku poszedłem odwiedzić tego wodza ludzkości w nowym miejscu, na tym cmentarzyku i na własne oczy stwierdziłem, że ta płyta jest rzeczywiście ciężka i nie do udźwignięcia bez użycia dźwigu.

Mniej więcej w tym czasie kiedy moje studia zbliżały się ku końcowi, M.P.Chem. powołały nowy, Centralny Zarząd Budowy Aparatury Chemicznej. Naczelnym inżynierem tego C.Z.-u został mój poprzedni przełożony, Jan G. i to właśnie on zaproponował mi objęcie stanowiska naczelnika wydziału technologicznego. Poprzednio mi się dobrze z nim pracowało i dlatego chętnie się zgodziłem. Tam też spotkałem się z wieloma ludźmi z poprzedniego C.Z.-u. Z pracy byłem zadowolony. Wtedy już mogłem sobie pozwolić na wyjazdy nie tylko w teren, ale i o wiele dalej. Do zakresu moich czynności doszła również współpraca z jedną z branżowych komisji tzw. R.W.P.G. – Rada Wzajemnej Pomocy Gospodarczej – podkomisja do Spraw Urządzeń i Aparatury dla Przemysłu Chemicznego. W tej komisji były reprezentowane wszystkie państwa bloku wschodniego. R.W.P.G. jako całość miała stanowić coś w rodzaju Sowieckiego